



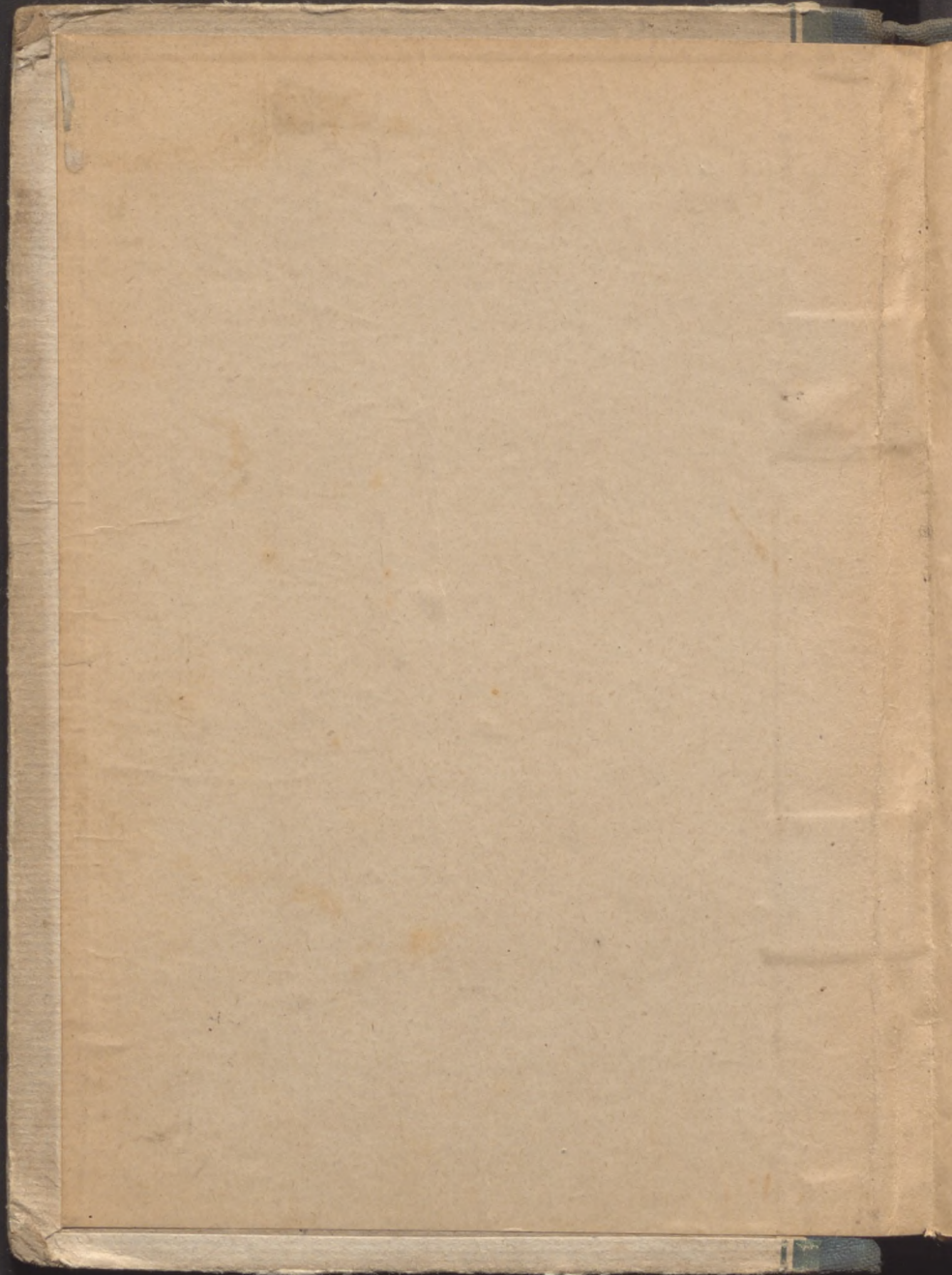
WACŁAW SZYMANOWSKI

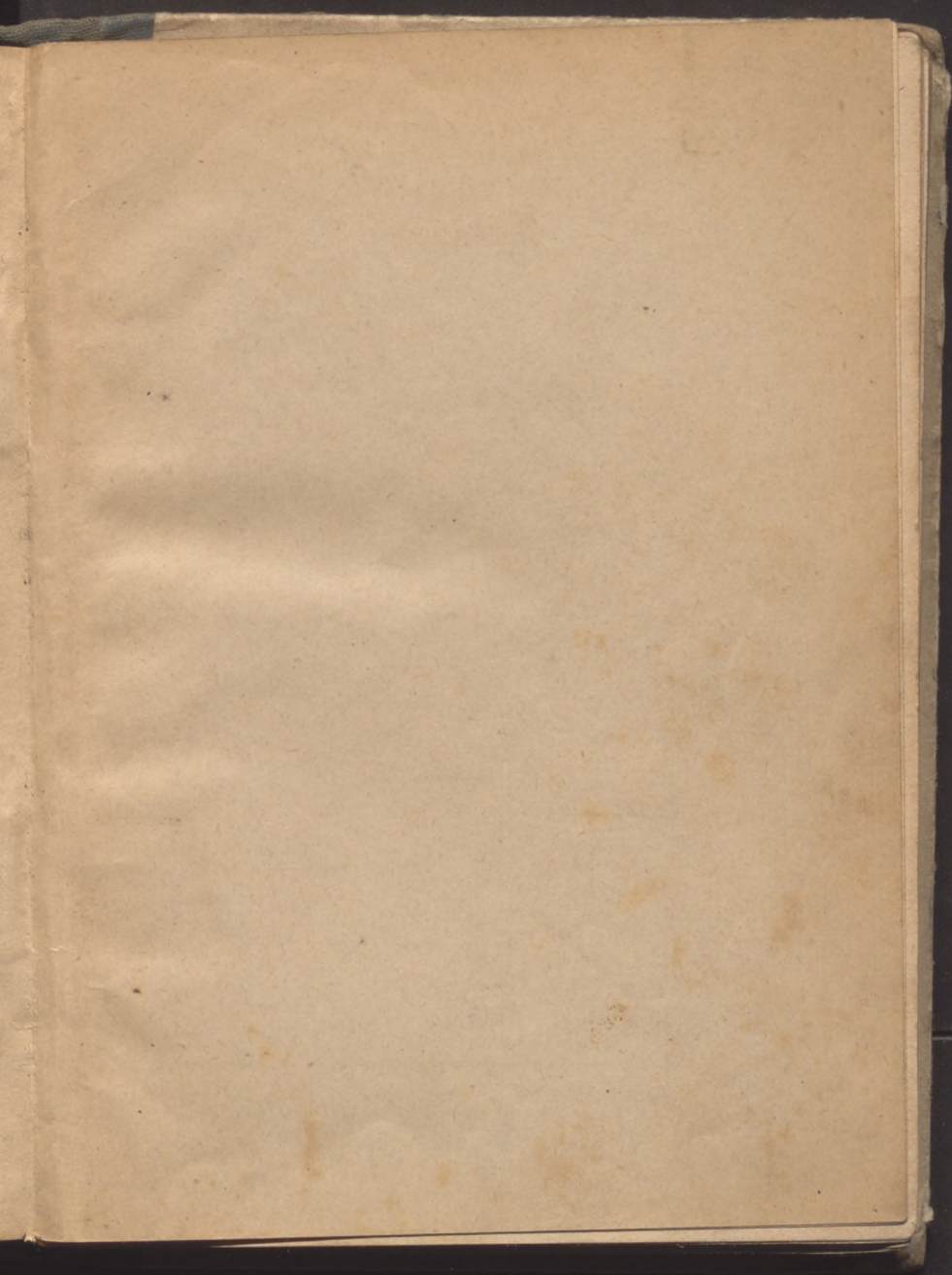
**O
BIEDNYM
MUZYKANCIE
i O LICHU**

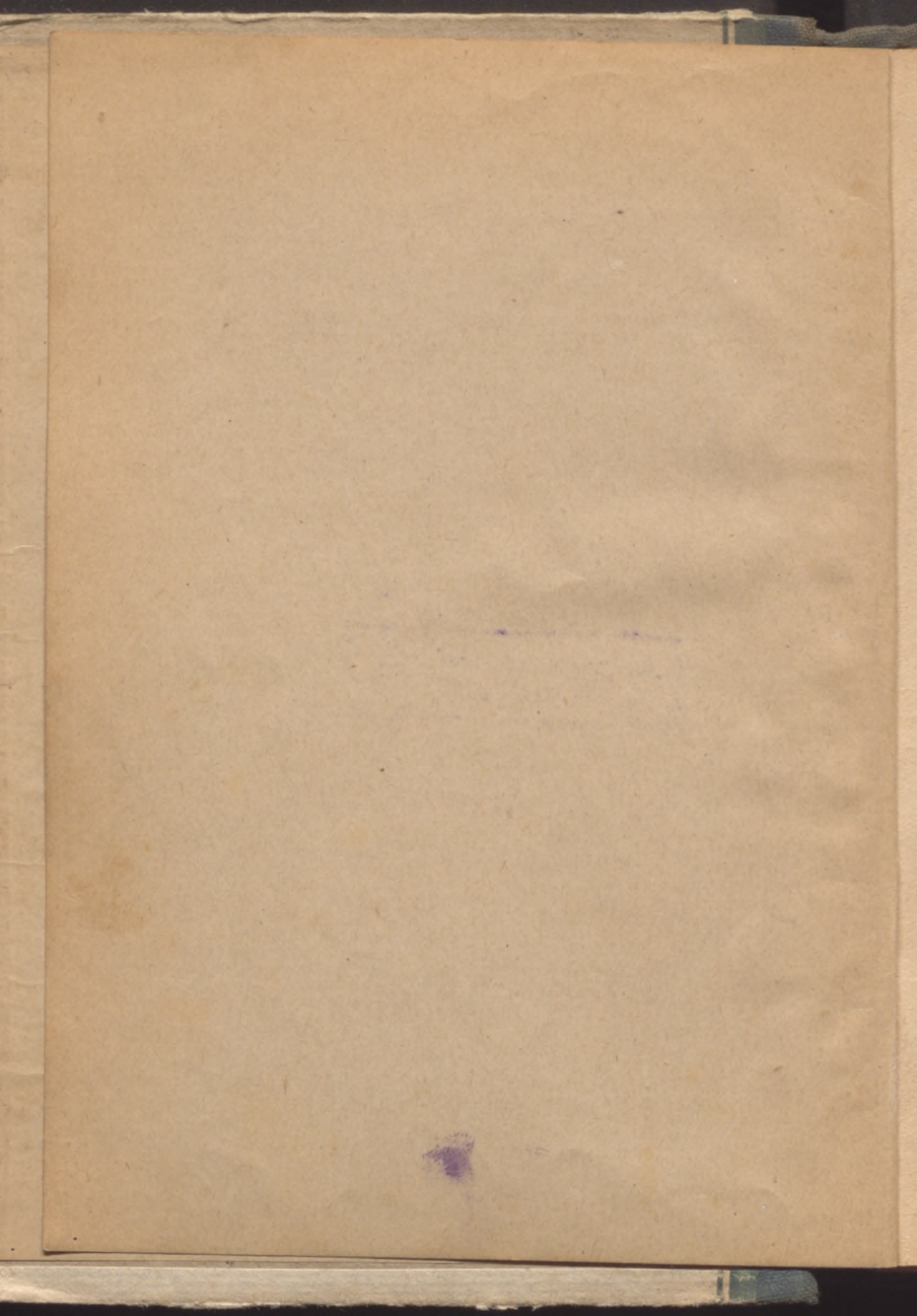
NOWE WYDANIE



SPÓŁKA PEDAGOGICZNA T. A., POZNAŃ
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, WARSZAWA







O
Biednym Muzykancie
i o Lichu...

przez

Wacława Szymanowskiego

Zbigniew Roszkiewicz
Poznań

Nowe wydanie

1926

Nakładem Spółki Pedagogicznej Tow. Akc. Poznań
Dom Książki Polskiej, Warszawa



449005

Czcionkami Drukarni Spółki Pedagogicznej T. A., Tuchola

W. 1520/76

I.

Nie tak to łatwo, jakby kto myślał sobie,
skakać do wody na łeb.

Dwunasta godzina w nocy biła na ratuszowym zegarze.

Te dwanaście uderzeń powtórzyły dzwony zegarowe na wieżach kościelnych, jedno przeciągle, drugie prędeej; jedno brzmiać głośno, drugie odzywając się głucho tłumionym głosem, niby owo cmentarne dzwonienie, co z za murów ogłasza miastu, że nowy gość wstąpił do przybytku śmierci. I dźwięki te mieszały się z sobą, tłumily się, słabły; echo ich brzęczało po szybach kamienic, aż nareszcie raz ostatni zatętniało, ostatni raz przeciągłem odbiło się echem i znowu cichość grobowa zaległa miasto, tylko zdala odgłos grzechotki stróża miejskiego, przedrzeźniał się dzwonom wieżowym.

Kraków spał.

Na przecznicy, co kabłąkiem się wybijając w przedmiejskie prowadziła uliczki, dał się słyszeć odgłos kroków.

Nie było wówczas jeszcze latarni ulicznych, ów więc spóźniony człeczyna stąpał z pluskiem po błocie, a widocznie nie wybierał drogi przed sobą, bo brnął wprost środkiem ulicy i nie obawiał się złoczyńców nocnych, bo nie oglądał się na prawo i na lewo jak tchórzliwy mieszczanin, co się nocnego rozboju lęka.

Na skrócie przecznicy, która na wąską i brudną wybiegała uliczkę, boć to była najuboższa część miasta, w wydrążeniu umieszczonem przed bramą starożytnego domu, mieścił się posążek Najświętszej Panny Marji z Dzieciątkiem Jezus na ręku, a przed posążkiem paliła się lampa, której bladawe światło na wpół ten drobny zakręt ulicy oświecając, odbijało się o zabrukane błotem i dymem mury przeciwległych domostw.

Przed posążkiem przechodzień zatrzymał się chwilę, uchylił czapki i przeżegnał się, a wówczas płomień lampy oświecił twarz jego bladą i wychudzoną, krótką, szarą, wytartą kapotę, z podniesionym do góry kołnierzem, łatane spodnie i czapkę rogatywkę z barankiem.

Z kieszeni kapoty sterczał przedmiot jakiś, owinięty w szmatę. Wydobywający się z pod szmaty koniec starej i zużytej tulejki, wskazywał, że to musiał być jakiś instrument muzyczny, flet zapewne. A widno fletowi temu przestronno było w owem kieszeniowem mieszkaniu, bo za każdym

poruszeniem kiwał się to na prawo to na lewo, jakgdyby, zmuszony do milczenia, chciał jeszcze resztę niedogranych taktów dobijać na żebrach swojego właściciela.

Człeczyna ów stał przez chwilę zadumany przed posążkiem, potem kiwnął ręką, nasadził czapkę na uszy i poszedł dalej ze spuszczoną głową. I musiały myśli jakieś natrętne zajmować jego mózgownicę, bo idąc, mrucał sobie pod nosem, i machał rękami, jak pijany.

— Przekłęty winiarz! — mówił sam do siebie — ani tyńfa, a w domu złoto aż kapie, a co za przepyszne potrawy, jakie bakalje, jakie wino, to aż ślinka człowiekowi idzie do ust. Jakie manele, bławaty, atłasy, jakie złotolite pasy słuckie, ażeby to ubogi pacholek choć raz do kałamajkowego pasa mógł się dochrapać. Ale co mi tam myśleć o pasie, kiedy nie ma co pod ząb włożyć, a jutro z mieszkania wyrzucą pewnikiem, bo i tak pan Matjasz zapowiedział, że dłużej nie myśli czekać. Hej mój miły Boże! przyszło że mi już na ostatnią biedę... Nawet mi się do chałupy wracać nie chce, bo co tam będę jadł, chyba cegłę albo rumowiska. Bodajże ich kaczkę zdeptały z temi nowemi wymysłami, już im teraz flet niepotrzebny, niby to na flecie nie stoi cała muzyka. Piszczy, powiadają, piszczy, nic po tem, wyrzucić go! A żeby im tak w dniu

ostatecznym zapiszczało w uszach. A co tu robić? Próbowało się tego i owego, a ciągle gorzej i gorzej. Chyba już człowiekowi nie żyć na tym Bożym świecie, bo co po takim życiu?

I tak rozprawiając szedł ciągle przed siebie, nie widząc nawet drogi. A domy na uliczce, którą szedł, zniżały się ciągle i rzedniały, nie były to już kamienice, ale chałupki poprzedzielane parkanami, a tu i owdzie nawet parkanu nie starczyło, tylko szczerze widniało pole. Jeszcze kilka kroków aż już i znikły domostwa i roztoczyła się przed oczami rozległa płaszczyna przetrnięta siną, szeroką smugą.

Była to Wisła.

Nie wiedząc o tem, człowiek ów zaszedł na ostatnie krańce przedmieść i stanął dopiero, kiedy rzeka przed nim nieprzebytą stawiała już tamę.

Księżyc wyszedł na chwilę z poza chmur i oświecił wspaniałą obraz, który z tej strony Krakowa uderza przechodnia.

Na prawo sterczały wyniosłe mury Wawelu, jakby głowa olbrzymiego ptaka, który gniazdo swoje na powiślu usłał.

A po za Wawelem, ptak — miasto, rozwijał szerokie skrzydła, nastrzępione wieżami kościołów, przed którymi górowała wieżyca Panny Marji, odbłyskująca promienie księżyca złocistą koroną swoją. Zubożały już wówczas i podnisz-

czony Kraków, olbrzymiał w cieniu nocnym, a przedmieścia łącząc się z grodem i okalając go ze wszech stron wieńcem zabudowań, zdawały się rozciągać do nieskończoności tę czarną masę gmachów, sterczących jedne ponad drugimi.

Chudzina zatrzymał się nad Wisłą, stanął i rozejrzał się na wszystkie strony. Póki siedł nie czuł zimna, bo zagrzewał go chód prędkie i ów gniew na heretyków fletowych, którzy mu doskwierali do żywego. Ale teraz na szczerem polu, nad wodą, wiatr go świeży obwiał i przez wszystkie łaty kapoty, przez wszystkie dziury podartej bielizny, począł przedzierać się do skóry. Drobnutkie krople deszczu, który przed chwilą padał był rzęsiście, ześlizgując się po barankowej czapce, z jednej strony spadały mu na czoło i szukały dalszej drogi po wybladłych i wychudłych policzkach, z drugiej zaś znajdując wygodne dla siebie zejście po za kołnierzem kapoty, lały się tam strumieniem bezustannym. Biedaczysko począł trząść się na całym ciele, nogi drgały pod nim, a zęby szczękały jedne o drugie.

— Tfu! na marę! — wyjąkał, już wszystko zawzięło się przeciw mnie. Ni w prawo ni w lewo. Brr! jakie zimno!!!

I począł przyglądać się falom Wisły, które poruszane wiatrem kłębiły się jedne ponad drugimi. A widno dziwne myśli musiały mu przy-

chodzić do głowy, bo się chwilami otrząsał, jak człowiek, którego zmora dusi i pragnąłby ją zrzucić z siebie, a potem znowu spuszczał głowę i patrzył rozpaczliwie przed siebie.

„Oj! Bożeż, mój Boże! — zawołał nareszcie — na to że mnie już przyszło biednemu! wciąż kusi, i kusi, i ciągnie do siebie, że się oprzeć trudno. Bo i po co się opierać? Umrzeć tak czy owak, wszak to wszystko jedno, zawsze człeku nie wymawiać się od tego. A może i lepiej uwinąć się wcześniej, już nie będę ciężarem ani sobie ani drugim. Jak jednego ubędzie, zostanie więcej miejsca dla innych.“

A wymawiając te słowa szedł machinalnie wzdłuż brzegu, aż doszedł nareszcie do miejsca, gdzie stało kilka galarów powiązanych ze sobą sznurami i jeden przed drugim wysuwających się ku środkowi rzeki. Na galarach tych było pusto, wyprzątnięto z nich już ładunek, albo go jeszcze zgoła nie kładziono. Więc ani zboża, ani drzew, ani ludzi, jeno woda sączyła przez szpary dna i zapuszczała w głąb opuszczonych statków. A na tej wodzie tu i owdzie porzucane były deski do przejścia, snać przez rybaków, którzy stamtąd musieli sieci swoje w Wisłę zarzucić.

Muzykant wstąpił na pierwszy galar i począł zwolna z jednego na drugi przechodzić, aby dojść do ostatniego, który już na samą głębię

się wychylał, co znać było po plusku wody, która wirowała pod nim, bijąc z szumem o jego boki. A szedł ze spuszczoną głową, krokiem niepewnym, potykając się co chwila o kołyszące się deski, które napotykał po drodze, albo prawie brnąc w wodzie. Aż kiedy doszedł do ostatniego galaru, zatrzymał się tam, nie śmiejąc burty prze-



Aż kiedy doszedł do ostatniego galaru...

stąpić i z wielkiem wahaniem począł poglądać przed się, boć nie długo drewna już zbraknąć miało i poczynąła się woda.

A woda — to śmierć.

Snać nie rażno chudzinie musiało być jeszcze umierać, bo się parę razy otrząsł, jeno już nie z zimna, ty'ko ze wzruszenia wewnętrznego.

I pozostał tak nie mogąc postąpić kroku, ani naprzód, ani w tył, bo tam straszyla go bieda, a tu przerażała śmierć.

A kiedy tak stoi, i patrzy, i nie wie co z sobą począć, usłyszał nagle po za sobą głos....

Właściwie trudno nazwać to głosem. Podobne było do mowy ludzkiej, ale skrzeczało, skrzypiało i szeleściło, rzekłbyś grzechotka stróża miejskiego, która ni stąd ni zowąd poczęła jakoby mówić w ręku. Głos, wchodząc w ucho raził je i drażnił, jakgdyby nagle nad uchem niesmarowanym smykiem pociągnięto po wszystkich strunach skrzypiec. Słyszając go, przysiągłbyś, że żadna z żywych osób nie mogłaby się odezwać takim głosem, albo że ten co tak mówił, zaciskał z umysłu gardło, żeby mowy nie przepuścić i każdy wyraz dopiero gwałtem, przez tę zaporę wydobywać się musiał, a nie spotykając zębów po drodze, od razu skrzypiąc rozchodził się w powietrzu.

Odezwał się on mniejwięcej w ten sposób:

— A waszmość co tu porabiasz?

II.

Doktor Buchman.

Muzykant drgnął, cofnął się parę kroków i obejrzał się w tył.

Poza nim stała dziwna jakaś figura.

Był to człeczyna chudy jak kij, niski i przygarbiony. Miał na sobie długi kubrak, zakrawający trochę na rewerendę księżą, ściśnięty czarnym pasem, a na kubraku opończę podszytą czarnem futerkiem, która mu zaledwie poniżej kolan sięgała. Poły od kubraka były zawinięte, aby się nie walały w błocie, a z pod nich wyglądały długie węgierskie buty z czerwonym wyszyciem, co wszystko przy świetle księżycy można było dobrze rozpoznać. Sądząc z nakrycia głowy, nie wiadomo do jakiej nacji albo regulaminu możnaby go było zaliczyć. Miał on bowiem na głowie czarny spiczasty kapelusz, a raczej rondo od kapelusza, bez żadnych skrzydeł. Miejsce tych skrzydeł bowiem zajmowało szare futerko, takie same jakiem była opończa podszyta.

Cudaczny ów człowiek trzymał w ręku naczynie jakieś w kształcie lejka, osadzonego na długim drążku drewnianym. I snać lejkiem tym musiał on z galaru czerpać w Wiśle, bo woda z niego kapała. A z pod pachy sterczało mu okrągłe, płaskie puzderko drewniane, na którem, przy niepewnym blasku księżycy, można było rozpoznać figury i zygzaki namalowane czerwono.

Widząc, że muzykant nie odpowiada, tylko jakoś cofa się z widoczną obawą, człeczyna ów powtórzył zapytanie:

— A waszmość co tu porabiasz?

— Wszelki duch Pana Boga chwali — odparł muzykant, czyniąc znak krzyża — czyino waszmość nie duch jaki, chochlik albo jakie zjawisko, bo to ludzie mówią, że tu w nocy nad Wisłą dziwy się różne ukazują. Tfu na marę! a może waszmość jaki brat Tamtego, albo skoligacony z nim, to proszę odczep się ode mnie.

— Bredzisz waszeć, ja żadnego brata nie znam, a duchem nie jestem, chociaż jak mówi Porphyrus... a'e nie o tem mowa, a waść byś mnie pewnie nie zrozumiał. Czyś waść rybak, albo co takiego? Chyba nie rybak, bo i sieci nie masz, a przy tem to nie pora na łów teraz. A może waść znasz sposób zamykania w wodzie promienia księżycowego dla zrobienia ogniska sztucznego, przy którym cyna topi się na złoto? To nie dziś, to kiedy księżyc jest w ostatniej kwadrze. Omyliłeś się waść.

— Oj, gdybym znał ten sposób — odpowiedział westchnąwszy muzykant — nie byłoby mi przyszło na tę ostatnią biedę, która mnie aż tu zapędziła. Przyszedłem tu nie z wesela, ale z głodu i chłodu, nie dla łowienia jakiegoś tam księżycyca w wodzie, ale żeby już raz skończyć z tem utrapionem życiem i z nędzą, która się do mnie przyczepiła i wciąż gniecie, a gniecie. A czy księżyc w pierwszej, czy w ostatniej kwadrze, to

byleby tylko dość światła dawał dla skoczenia z galaru w wodę, dla mnie więcej nie trzeba.

— Ot co jest! Utrapienie, nędza i buch w wodę. Bzdurstwa waść plecie. Niby to tak człeku kończyć jak chce. A ja waści powiadam, że choćbyś się dwadzieścia razy rzucił do Wisły, to nie umrzesz, jeśli ci nie przeznaczono. I woda wyrzuci, i piasek nie przyjmie. A wiesz waść co o owych dwóch olbrzymach z brązu, które król Salomon umieścił w wejściu do świątyni? — Jeden zwał się Jakim, a drugi Boaz. Na Jakima góry się waliły i stał krzepko, a Boaz pod słomką, pod lada źdźbłem uginał się i padał. To dla nauki głupców. Ale cóż waści doskwiera? Na każde złe są na świecie leki, na każdą biedę zarada. Może też i waści można będzie w czem dopomóc? Hej? gadajno waść ino.

— At, co tam gadać. Już się dość nagadało, a tyle pomogło co wiatr, który świszcze po polu.

— Widzisz waść, kiedy mówię że pomogę, to nie próżne słowa tylko. Jak zechce to i zrobię, boć mnie stać na to. A może waść słyszał o mnie wszak nie pierwszy rok mieszkam tu w Krakowie i znają mnie ludzie. Słyszał waść o doktorze Buchmanie? Ot co, już zaraz waszeć się cofasz skoroś usłyszał moje nazwisko, boisz się że z za mnie na ciebie zły duch wylezie. A wody to waść się nie boisz, — he, a próbować śmierci

przeciwno przykazaniom bożym to nie straszno; a straszność spotkać się z doktorem, co się zna z duchami. Tak z wieloma bywa. Głupcy! prawią bajdy i kwita. Jak któremu rodzic, albo żona chora, albo sam nie domoże, a wielcy medycy tutejsi, którzy niestworzone rzeczy plotą na mnie, opuścili z kretesem, to się nie boi złych duchów i przychodzi do Buchmana. A ja poratuję i wesprę i na dobre naprowadzę. Tak to bywa. No! gadajże waść; a ja tymczasem słuchając dokończę sprawę dla której tu przyszedłem.

To mówiąc, położył na desce owe puzderko które niósł pod pachą a przy niem czerpak. Następnie pochyliwszy się, zdjął pokrywkę z puzderka i począł powoli układać w niem jakieś narzędzia. A szło mu dobrze i gładko, chociaż po nocy. Nagle w środku puzderka zapłonęła lampka i ukazał się nad nią mały kociołek, pełny jakiegoś ziela, a wokoło różne słoiczki, flaszeczki i dziwnego kształtu drążki żelazne z kulkami po obu końcach, ponasadzane między flaszeczkami. Owe flaszeczki, każda innego koloru, zalepione były pokrywką woskową. Kiedy to wszystko urządził dobrze, dogodnie i z porządkiem wielkim, wziął w rękę czerpak, pochylił się po nad burtą i, zacerpnąwszy trochę wody wiślanej, podniósł ją ku górze, żeby przy blasku lampy rozejrzeć się w niej. Jakoś mu nie dopisywało, bo po kilka

razy wodę wylewał i czerpał znowu. Nareszcie za piętem czy szóstym zaczerpnięciem musiało mu snać dobrze jakoś wypaść, bo po] odbytym przeglądzie kiwnął głową z zadowoleniem, mlasnął językiem o podniebienie, i wlawszy w kociołek wodę, która też tam zaraz poczęła syczeć i kipieć, jakgdyby na wielkim żarze gotowana, odezwał się sam do siebie,

— Ot co jest. W sam raz utrafiłem. Wre i kipi, kipi i wre. *Venite ad patres Osphal*¹⁾ Prawdziwy dekockt Philatety — ot cacko, pie-szczotka, kochaneczka droga, jak to szumi. A ja mówiłem zawsze że w Wiśle jest, bo jest *Sol im aqua*²⁾. Leży w Wiśle. To mi rzeka. I po co w Egipcie szukać, piec się i zadręczać.

To mówiąc zacierał ręce z wielkiej radości.

A muzykant patrzył na to osłupiały z roz-wartą gębą, jakby przyrósł do miejsca. Trochę mu było dziwno i straszno trochę. Sam sobie nie dowierzał, jakby ta dziwna robota, która się przed jego oczyma odbywała, była złudzeniem jakimś, marą z ciemności nocnych wywołaną. I byłby tak stał długo, w milczeniu, nieruchomy,

¹⁾ Formuła używana przez dawnych filozofów.

²⁾ Słońce w wodzie. Dawni uczeni nazywali złoto jako najszlachetniejsze z metalów, słońcem. Srebro zwało się księżycem itd.

gdyby nagle z tego osłupienia nie wyrwał go skrzeczący głos doktora:

— A co waść nic nie gadasz? Czy mnie waść nie znasz, czy co? Wszakże powiedziałem waści kto jestem?



Muzykant patrzył osłupiały (str. 15)

— A jużci że znam, odparł muzykant drżącym trochę głosem, ale przyznam się waszmości, że mnie lęk trochę bierze. A to, o waszmości prawią niestworzone rzeczy.

— Głupstwa, powtarzam waści, bają; co ja to ja, a co oni, to oni. — Mówię że dopomogę i możesz mi waść wierzyć. A jak się waść nazywasz?

— Bartłomiej *Kulig* do usług waszmości.

— Bartłomiej *Kulig* — *Kulig* — ot, wesołe miano, aż miło człeku tak się zwać. A no, czy tylko waszeć nie za bardzo rozkuligowałeś się w życiu, że to tak teraz przyszły na waści ciężkie momenta?

— Gdzie mnie tam kuligować? U mnie jedna bieda drugą spychała. Od początku było źle, a potem coraz gorzej. Ot i teraz radbym waszmości opowiedział moją niedolę, bo to i ulżyłoby może trochę na sercu, a tu głód skwierczy w kiszkach, bo od rana nic się nie włożyło pod ząb. I jakże tu gadać? A i chociażby....

— Czekaj no waszeć, czekaj — zawołał doktor przerywając mu nagle i nie przeszkadzaj mi teraz, boby cała robota poszła na nic.

To mówiąc, wyjął ze spodu pudełka jakieś denko na wskroś niby przetak przedziurawione i nakrył niem szybko kociołek. A za nakryciem wrzenie ustało nagle. Doktor popróbowwał płynu sztyfcikami żelaznymi, wsadzając je ostrożnie przez otwory od denka, każdy sztyfcik podniósł z osobna do ust, zasmakował, skrzywił się mocno, niby od wielkiego zadowolenia i zadmuchnął lampkę. Po-

czem nakrył puzderko i, wzięwszy je pod pachę, a czerpak do ręki, rzekł do muzykanta, który przy-
patrywał się temu wszystkiemu, nie śmiać prze-
rywać nakazanego sobie milczenia.

— Ano kiedy tak, chodź waść zemną.
U mnie znajdziesz waść czem posilić się i na-
wet popić, jeżeli ci bardzo zaschło w gardle.
A gdy będzie *plenus venter*¹⁾, to się i język może
jakoś rozwiąże. Pójdź waść.

To mówiąc ruszył przodem, skacząc z jed-
nego galaru na drugi i wybierając na deskach
suche miejsca sprawniej, niżliby się po jego po-
kurczonej figurze spodziewać było można. A mu-
zykant szedł za nim z głową spuszczoną, jako
człowiek, który się już pozbył własnej woli i sta-
je się powolnie posłusznym pierwszemu lepszemu
który nim pokierować zechce.

III.

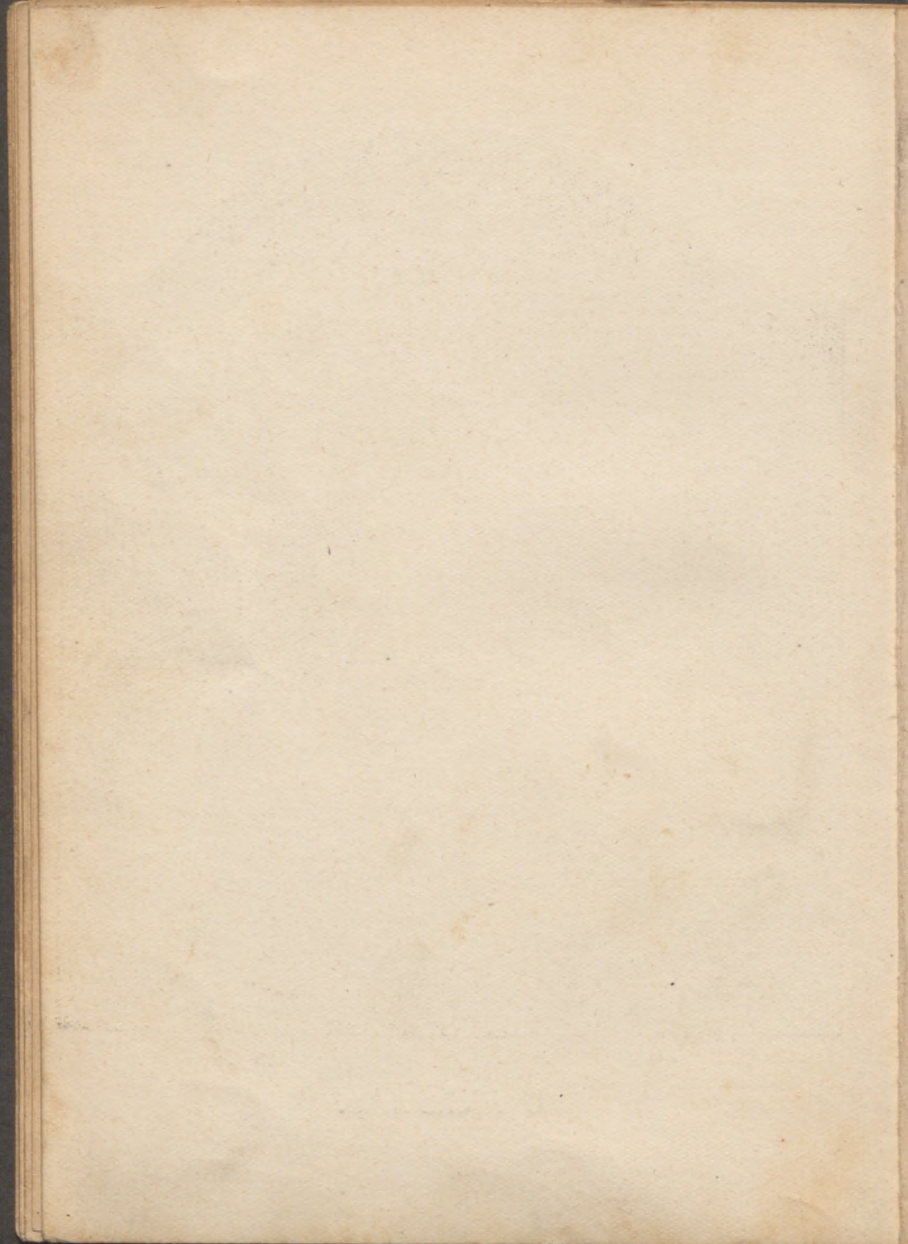
Jako piwo rozwiązuje język.

Płomień lampy, palącej się na stole, blado
oświecał komnatę w której siedzieli, kąty jej
i zagłębienia pozostawiając w ciemności. Wokoło
ścian stały wielkie szafy z ciemnego drzewa,
z drzwiami i gzymsami misternie rzeźbionymi. Na

¹⁾ Pełny brzuch.



U Alchemika.



szafach poustawiane dziwnego rodzaju sprzęty i naczynia, których użycia Bartłomiej żadnym sposobem odgadnąć nie mógł. A i nie łamał sobie bardzo głowy nad tem, boć cała ta komnata to było jedno tylko dziwowisko.

U powały na łańcuszkach wisiały różnego rodzaju lampy i fajerki żelazne i mosiężne, a niektóre szklane. Jakby to wszystko zapalił, to chybaby człowiekowi oślepnąć przyszło od wielkiego światła. A w środku na trzech sznurach zawieszony siedmioramienny świecznik, z metalu jakiegoś kubek w kubek podobnego do złota. Podstawą tego świecznika był wąż kilka razy okręcający się koło siebie, a paszczą kęsający własny ogon. Na głowie tego węża błyszczał kamień dziwnej wielkości i blasku. I kiedy przy jednej słabej lampie takie dawał promienie, cóżby to musiało być, gdyby więcej światel porozpalano.

W środku komnaty stał stół okrągły, pokryty czarnem suknem. Na stole paliła się lampa, stał dzban z którego pił Bartłomiej i szczątki wieczerzy, którą dopiero co spożył, widne jeszcze po okruchach sera, chleba, oraz niedojedzonych główkach śledziowych. Na stole tym stało również niewielkie zwierciadło metalowe, pięknie wypolerowane, w ramach srebrnych w dziwne rzeźbionych znaki. A po obu stronach zwier-

ciadła ustawione były dwie figurki z gliny wypalanej. Ale co wyobrażały te figurki, trudno było odgadnąć, jedna z nich miała bowiem psi pysk na ramionach, drugiej zaś wychylał się w górę łeb węzowy, a miast nóg wspierała się na rybim ogonie. Przed zwierciadłem zaś stała mała mosiężna miedniczka, a w niej jakiś płyn brunatny, w którym doktor ciągle mieszał drewnianą łyżką, dosypując co chwila proszków i ingrediencyj różnych z puszek naokoło miedniczki rozstawionych.

Na ziemi tu i owdzie mnóstwo słoików, słoików, puszek i puszcetek, tak że trudno było przejść.

Dopóki jeszcze starczyło chleba, sera i śledzia Bartłomiej nie bardzo uważał na te wszystkie dziwowiska, zajęty gorliwym sprzątaniem zastawionej mu wieszery i popijaniem sławnem na owe czasy piwem krakowskiem. Po takiej usilnej bartłomiejowej robocie zrobiło się na stole pusto. W miarę jednak jak do żołądka przybywało, zaczęło jakoś ubywać odwagi i muzykant począł z niepokojem oglądać się to na prawo to na lewo, to przed siebie, to na ową robotę w miedniczce, która mu się widziała jakoś podejrzaną.

— I cóż waść tak milczysz, jakgdyby ci kto kołem język zabił? — odezwał się znowu doktor.

widząc iż Bartłomiej nie odpowiada na jego pytanie. — Czy może znowu ochota do wody? No to gadajże waść, ano przecie nie rybę, jeno człowieka złowiłem na galarze, więc ryby rzecz milczeć, a waścina odezwać się i powiedzieć, co mu dolega.

— Kiedy to widzi waszmość, — bełkotał Bartłomiej — nie swojo mi jakoś.

— To waść się oswoi jak się rozgada. W słowie leży swojactwo. Kiedy gęba gada, to duchowi raźniej. Ból wychodzi gębą i radość gębą, gębą złe i dobre, smutki i wesela. Skądże więc waść popadłeś w ową wielką biedę?

— Ot, właśnie trudna rzecz — odpowiedział Bartłomiej, wzdychając. Bo to człeku otwiera się tu i owdzie droga, ale wszystko szło na marne. I co gorsza ludzie się śmieją i nie dają wiary. Ot, powiem waszmości słowem, bo i na co się zda w bawełnę obwijać... ja jestem urzeczony.

— Ot co jest. Nic dziwnego, mój mości, nic dziwnego. Zdarza się i to nieraz. Bieda się przyczepi i dręczy człeka, a świat głupi, miast radzić, śmieje się. Ale jest przyczyna mówię waści, o jest. Tak samo nie przychodzi, musiało być coś. A skąd waszecin urok? Jakie ma miano? Czy z duchów dziennych? Czy z duchów nocnych? Jak odpowiada: na głos, czy na pytanie? W czym siedzi: w murze czy w drzewie? Czy

pryczepił się do waści z wosku, z włosów, czy z kawałka szkła?

— Oj, gdybym ja też to wiedział skąd owo lichy przyczepiło się do mnie, dla czego mnie dręczył! Ale w tem właśnie sęk, że nie wiem. Ot, kiedy waszmość taki jakoś dla mnie miłościwy, że chcesz mi poradzić, a widzi mi się, że mógłbyś to uczynić jeżeli wola, rozpowiem waszmości całą moją historję, bo to ja już od dzieciństwa skazany jestem na udręczenie. A co waszmość każesz to zrobię, bo już sobie to dawno powiedziałem, że lepiej mi zginąć od razu, niżli żyć ciągle tak, jak żyłem dotąd.

To powiedziawszy Bartłomiej nalał sobie na rezon pełną szklennicę piwa, wychylił, oparł głowę na obu rękach, a przycisnąwszy dłońmi czoło, jakby chciał tym sposobem lepszych nabrać myśli, począł prawić.

IV.

Początek powieści Bartłomiejowej.

Rodzic mój był organistą przy tutejszym kościele św. Anny. Matka odumarła mnie za młodu. Nie miałem sióstr ani braci, rodzic też wielce mnie miłował, jako jedynaka. Chociaż dziwne było to jego miłowanie, bo czasem pie-

ścił mnie nad miarę, a często znów niepo-
 żałował i szturchańców, zwłaszcza w niedziele
 i święta, kiedy przy większej pracy, w kościele
 następowała też i większa konsolacja, jak ją rodzic
 nazywał. A konsolacja ta miała zwykle miejsce
 w znanej gospodzie u szewca Nogi, gdzie sprze-
 dawano słynne pod owe czasy częstochowskie
 piwo.

Rodzik mój wielkie miał na mnie zamysły.
 Chciał on uczynić ze mnie kantora¹⁾ kościelnego,
 albo co najmniej *rybaltą*²⁾, bo to mówił najpię-
 kniejsze rzemiosło na świecie. Pracy żadnej
 prawie, a honoru siła i dostatku po uszy.

Gdzie przyjdiesz ugospzczą cię, pochwalą
 i obdarzą. Rybalt wszędzie znajdzie dobre słowo
 i gościnne przyjęcie. I piec ciepły, jedzenia
 w bród, a piwa i miodu co wypić zdoła. A pod
 zapusty, to się im nie opędzisz, tak cię już cią-
 gną na wsze strony i tu żądają, a tam proszą.
 Dopieroż to jak im zaśpiewasz jaką piękną pieśń
 o Piotrowinie, albo bitwie pod Grunwaldem, albo
 o Barbarze Radziwiłłównie, albo o wzięciu Gdań-
 ska, a panowie rozweseleni i w dobrym humorze,
 to nietylko tyńfów się nazbiera, że ich miarękę
 liczyłoby można, ale nieraz talar, albo czerwony

¹⁾ *Kantor* śpiewak kościelny. ²⁾ *Rybalt* śpiewak,
 który obchodził po domach i dworach, śpiewając hymny
 i pieśni różne.

złoty się trafi, a nie rzadko nawet drogocenny jaki sprzęt znajduje się w torbie. Bo to pan kiedy się weseli, to już u niego miary nie ma. Tylko podstawiaj ręce, a zbieraj.

A kantorom to i lepiej jeszcze. Kantor ma wszędy zachowanie jako człek kościelny, a zawsze uczony. Więc i na naukę do niego posyłają dzieci i on sam uczy po szkółkach, za co płacą sownie. A jak przyjdzie uroczystość jaka, albo odpust, dopiero to zarobek! Panie odpuść, stoisz jak pod rynną, ze wszech stron kapią tyńfy i groszaki. A cóż dopiero wesele, chrzciny, alb nieprzymierzając pogrzeb. Człowiek się rodzi, kantorowi dobrze, człowiek umiera, kantorowi lepiej jeszcze. I byle tylko w zadowoleniu nie wdawał się sprawy, a zbyt nie zalewał gardła, to niemasz piękniejszego i intratniejszego rzemiosła na świecie, jak być kantorem przy jakim dobrym kościele.

Tak mawiał św. pamięci mój rodzic, a ja słuchałem go z szeroko rozwartą gębą, bo on to umiał tak wszystko przedstawić pięknie i składnie, że aż ślinka człowiekowi szła do ust.

Tedy rodzic przyuczywszy mnie sam w domu przy skutecznej pomocy boćkowskiego czytać i pisać *expedite**) oddał mnie na dalszą naukę do

*) Umiejętnie, wprawnie.

szkoły kantorów, która jak waszmości zapewne wiadomo, z daru panów krakowskich istnieje na wielkim rynku.



Ale da Bóg może się wyszlifuje w szkole... (str. 26)

A skończyłem był wówczas czternaście lat na św. Bartłomiej. Pomnę jak dziś, kiedy śp.

mój rodzic przyprowadził mnie do księdza prefekta i kłaniając mu się do kolan rzekł:

— Przyprowadzam, wielbności waszej, mojego błazna, którego pragnąłbym za łaską dobrodziejów moich na człeka wykierować. Głupie to jeszcze i niemrawe, ale da Bóg, może się wyszlifuje w szkole, jeżeli łaska wielbności waszej nie będzie mu szczędziła ojcowskich napomnień.

Słyszając te słowa, poskrobałem się za ucho i jakieś dziwne śwędzenia uczułem poniżej grzbietu, bo wiedziałem już dobrze, co znaczyły ojcowskie napomnienia.

Wkrótce więc rozpocząłem naukę moją, która zasadzała się na tem, żeby wokabuły łacińskie powtarzać podług taktu nuty, nadanej przez profesora. I tak przez godziny całe śpiewaliśmy na jedną nutę *aqua est pura*¹⁾ albo *magister docet discipulum*²⁾. A przy tem uczono nas znaczenia nut i ich podziałów i pokazywano to wszystko na małych organkach, które się w izbie klasowej znajdowały.

Zpoczątku szło to jeszcze po Bogu, i choć nie raz *placetra*³⁾ była w robocie, a po obra-

¹⁾ Woda jest czysta.

²⁾ Nauczyciel uczy ucznia.

³⁾ Klapka skórzana osadzona na kij, którą uderzano studentów po rękę. Była to kara za mniejsze przewinienia.

chunku sobotnim¹⁾ dostawało się po kilka, a czasem nawet po kilkanaście plag dyscyplinowych, znosiło się to jakoś cierpliwie, bo już to wiadomo, że żakowi szkolnemu trudno się od takich wszystkich słodyczy uchronić.

Ale popsuło się to wszystko, kiedy niewiadomo skąd przyszło na myśl księdzu prefektowi, zanominować mnie cenzorem jawnym²⁾.

A może stało się to dla tego, że na taki urząd wybierano zwykle z chudeuszów, który potrzebując łaski patrów, stawał się przez to zwykle bardzo pilnym zauszniczkiem, notując gorliwie wszelkie excessa przeciwko regule popełnione. Trudno jednak było dać sobie rady z ową książeczką którą nazywano u nas *petulantes*³⁾, i na której każde nastrzyżenie oznaczało grzech jakiś, wypisany początkową literą. Trzeba było wielkiej sprawności, żeby stąd lub z owąd nie doczekać się pokrzywdzenia jakiego, bo koledzy mścili się nad cenzorem i sam ksiądz prefekt

¹⁾ W sobotę następował obrachunek z całego tygodnia. *Bonae i malae notae*, złe i dobre zapisanie, kompensowały się wówczas pomiędzy sobą, a jeżeli złe przeważały, następowała kara.

²⁾ *Cenzorem* mianowany był jakiś student dla notowania postępów współkolegów. Dostawał książeczkę nazywaną *petulantes*³⁾ (swawolni) dla notowania na niej, co kto zrobił. Cenzorowie byli dwojacy: jawni i sekretni.

wielką nad nim rozciągał bacność, ażeby należycie i wiernie dopełniał swoich obowiązków.

Zpoczątku cieszyłem się bardzo z mego urzędu. Zdawało mi się, że wszystko pójdzie jak po maśle, że kiedy mnie się będą bali, otrzymam przez to wielką powagę i zachowanie pomiędzy innymi. Ale wkrótce przekonałem się, że te moje powinności to nie tak łatwe, jakby orzech zgryzł. A raczej był to iście orzech, ale orzech wielce twardy do zgryzienia, oj i nie mało on mi zębów naniszczył.



Kalefaktor

Trzeba jednak powiedzieć w jaki sposób godność ta spadła na mnie.

Pomiędzy innymi moimi kolegami był tam syn bogatego rymarza, pana Marcina Drabi, który miał sklep na rogu rynku i ulicy Florjańskiej. A posłał on był syna swego na naukę do szkoły kantorów z tej mia-

nowicie przyczyny, że od pierwszego dzieciństwa swego okazywał wielkie zamiłowanie ku wszystkim rzeczom, które dotyczyły muzyki. „Więc też kto wie — mawiał pan Marcin — kiedy smyk ma taki muzykalny animusz, niech się uczy, a może też z tego wyrośnie jaka muzykalna pociecha.

Tak mawiał pan Marcin i dziwne to nawet było na takiego zasobnego mieszczanina, bo w ogólności nie lubili oni, ażeby się ich synowie na co innego, aniżeli oni sami promowali. Ale wówczas inna już była jakoś fantazja pomiędzy ludźmi i dawne obyczaje wchodziły w poniewierkę, a nowe jakieś idee świtały w głowach, żeby to trochę więcej w świecie się ocierać, a z rodzinnego wychodzić gniazda.

Jak było, tak było, a chłopaka przeniesiono ze szkół jezuickich, w których był podówczas *syntaktykę*¹⁾ skończył do szkoły kantorów. Było zaś mu na imię Michałek. Spory to był wyrostek, miał bowiem już zgórą piętnaście lat wieku. A cieszył się wielkiem zachowaniem pomiędzy kolegami, raz dlatego, że był bogatym, a jak każdemu wiadomo, bogatemu i w piekle dobrze, powtóre, że jako wyćwiczony w pierwszych na-

¹⁾ Klasę w której uczono składni łacińskiej. Następujący był porządek klas w szkołach Jezuickich. 1-a *Infima* albo *parsula*. 2-a *Gramatyka*. 3-a *Syntaktyka*. 4-a *Poetyka*. 5-a *Retoryka*. 3-a *Filozofia*. 6-a *Teologia*.

ukach szkolnych, łatwo mu było prym trzymać pomiędzy innymi. A u nas podówczas uczono już wprawdzie wokabulów i nawet gramatycznego składania krótkich zdań po łacinie, ale muzyka dużo zajmowała czasu i takich którzy dobrze



„Scamnum asinorum“ (str. 31)

sintaxim znali i w sens mowę prostą potrafili rozmaitemi figurami okrasić, uważaliśmy za wielce uczonych. I łatwoby było zostać *audytorem*, ba nawet *dyktatorem*¹⁾, byle trochę pilności z jego strony. Ale właśnie w tem sęk. Michałek chociaż wielki miał pociąg do muzyki, większy

¹⁾ Godności szkolne udzielane w szkołach jezuickich, a nawet pijarskich uczniom za odznaczenie się w naukach. *Dyktator* miał ławkę osobną obok profesora, nie zależał od audytorów ani cenzorów i mógł na swoją rękę rozporządzać *laudesami* tj. pochwałami udzielanymi klasie, których ścisły utrzymywano rachunek. A zyskiwał tych *laudesów* za każdą zasługę 10 razy więcej niżeli każdy inny student. *Audytorowie* słuchali innych studentów z zadanych im *pensów* na pamięć i składali z tego raport.

jednakże do swawoli i psich figlów. Ognista bo była fantazja w tym chłopcu. Nikomu sobie w drogę wejść nie pozwolił. On zawsze przewodniczył klasie w owych zaszkolnych wycieczkach, cośmy je robili na żydów, albo też w innej jakiej gwałtownej potrzebie *scholarum*. A w samej klasie, to już nie utrzymać go, chcący go nawet powrozami przysnuować do ławki. Bywało nawet podczas lekcji z taką czasem wybuchnie chryją, że gdyby nie wielkie zachowanie, jakie jego rodzic miał u patrów, nie schodziłby nigdy ze *scamnum asinorum*¹⁾, albo byliby go zgoła nawet wydalili ze szkół, ale że ojciec przez wzgląd na swojego jedynaka wszystkie roboty szkolne darmo obrabiał, to jedynie ratowało Michałka. I przeklinaliśmy niejednokrotnie tę robotę pana Drabi, dyscypliny bowiem i placenty jego wyrobu, których na nas używano, kaducznie były twarde.

Owóż pomiędzy mną a Michałkiem odrazu zapanowała jakaś niezgoda. Nie wiem dla czego nie lubiliśmy się. Już to może z tego pochodziło, że ja dbając o polecenie ojca, przykazywane mi pod rygorem znanego mi dobrze instrumentu o sarniej łapce, który nad łóżem rodzicielskim wisiał, starałem się pozyskać zupełne zaufanie patrów. I to nawet dopomogło mi do zostania cenzorem. Michałek przeciwnie, tyle

¹⁾ Ława ośla.

dbał o łaskę patrów, ile pies o piątą nogę i nieraz cudaczne wynajdywał psikusy, byle temu lub owemu dopiec.

Nierzadko się zdarzało, że kiedyśmy śpiewali za profesorem owe wokabuły łacińskie, Michałek zmieniał dowolnie znaczenie wyrazów, najbliżsi za nim powtarzali, a jak się profesor nie spostrzegł, to wprędce i cała klasa i z tego dziwne nieraz tworzyły się arje. Bywało takim sposobem pół klasy czasem pokutuje za jednego.

Pewnego dnia, jak dziś pamiętam, nakazano nam śpiewać przez pół godziny *nosce te ipsum**), bo już to taki był zwyczaj, że chciano tym sposobem przy nauce muzyki różne sentencje moralne upajać nam w pamięć. Zaczęliśmy więc powtarzać na jedną nutę owo zdanie, a jakieśmy się rozśpiewali na dobre, to zwykle taki się robił zgiełk i szmer w izbie szkolnej, że już mało co można było rozpoznać. I nagle Michałek dał znak, a na takim jego znaku wszyscy się rozumieli. Więc nie przeszło chwili, a on i bliżsi jego poczęli śpiewać zamiast *nosce te ipsum* — *noś w tece i psom*. A jak to zwykle z takimi figlami bywa; iż to się lepiej przyjmuje, niżli co dobrego, poszło od jednych do drugich i wkrótce cała klasa poczęła na wyścigi powtarzać: *noś w tece i psom, noś w tece i psom*.

*) Znaj siebie samego.

Ale niebawem profesor poznał się na tej zmianie. A zwał się on Pater Kolenda. Wszyscy baliśmy się go ogniście, był to kapłan bardzo



aż się nieboraczysko nagiął (str. 34)

surowej powagi i wielki rygor umiał utrzymać pomiędzy nami. Skoro więc usłyszał owo zakazane zdanie michałkowe, które tak {niewczesnie przyszło zajmując miejsce zwykłych moralnych sentencji, wyskoczył szybko z katedry na środek klasy i zaczerwieniony od gniewu spojrzął na obie części *Romanam i Graecam*¹⁾ tak srogim

¹⁾ Klasa dzieliła się na dwie strony: *Pars Romana et pars Graeca* część rzymska i część grecka. Część Rzymska była uprzywilejowana, była to bowiem ta, która przy rachunku sobotnim najwięcej zyskała *laudesów*. Ale jeżeli się znów dozwoliła przeciwnie prześcignąć, zostawała nap owi ót grecką, a tamta rzymską.

wzrokiem, że wszystko nagle umilkło i stała się w klasie cisza wielka, tak żebyś był muchę mógł usłyszeć w przelocie.

Ale już nawet muchy nie latały podówczas, bo to było późną jesienią.

— Tr.... trutnie? — zawołał pater, jękając się od wielkiego gniewu. — tr.... trutnie! bł... błazny, a to co! To już wy tak nie umiecie uszanować *regulam scholarum, asini*¹⁾, że aż w żywe oczy przychodzicie tu głupstwa wyrabiać i uwłaczać profesorskiej powadze? Dam ja wam. A który to chłystek wymyślił tę mądrość? Niech mi wystąpi teraz na środek, żebym się z nim rozprawił, tu, na tę deskę.

To mówiąc stukał laską o deskę, że aż nas wszystkich mrowie po plecach przechodziło.

Ale nikt nie występował, bo jakkolwiek wszyscy dobrze wiedzieli, że to Michałka rzecz, żaden nie poważyłby się go wymenić, jedni bowiem go kochali z przyczyny fundy, jaką im często sprawiał, drudzy zaś bali się go, skoro bowiem miał na kogo powód do złości, nie pardonował nigdy i stłukł siarczyście.

Pater Kolęda poczekał chwilkę, a widząc że nikt nie wychodzi, zawołał z coraz rosnącym gniewem:

— Cenzor!

¹⁾ Nie umiecie uszanować reguły szkolnej, osły?

Na to zawołanie wysunął się z trzeciej ławki Wawrzus Lipa, który wówczas sprawował te obowiązki. Był to chłopczyzna bardzo ubogiej kondycji, mizerny, chuderlawy i nader bojaźliwego charakteru. Lękał się wszystkich i byle go tylko zastraszyć, można było być pewnym, że wszystko ujdzie bezkarnie. A nadewszystko wielkiego miał stracha przed Michałkiem, który już niejednokrotnie dał mu się być dobrze we znaki, z drugiej zaś strony, umiał wynagradzać jego milczenie jabłkami i piernikami, których biedny Wawrzus nie miał za co kupić.

Wyszedłszy więc cenzor z ławki, stanął w pewnej odległości przed patrem. A był bładny jak *ławka penitencyjna*¹⁾, świeżo przez *kalefaktora*²⁾ wyszorowana, tak zaś drżał na całym ciele, że mu aż poły od kapoty podrygiwały na piersiach.

— Smyku jeden! zawołał pater podchodząc ku niemu, tyś powinien wszystko wiedzieć, bo

¹⁾ Ławka na której wymierzano kary cielesne.

²⁾ *Kalefaktora*. Był to zwykle tułający się po szkołach jaki biedny wyrostek 20-letni, albo i starszy nawet, którego powinnością było w piecach palić, drwa rąbać, i jeżeli który student zasłużył na karę, sprawiać winowajcę wkońcu zapiecka za zasłoną, a to dla tego, żeby przystojność względem innych studentów i profesorów zachowaną była. Na zapłatę kalefaktora składali się studenci możniejsi, wikt miał z niedojadków refektarzowych.

od tego tu jesteś; gadaj więc, któremu przyszedł ten głupi koncept do głowy? Gadaj zaraz!

— Ale panie profesorze....

— Żadnych *ale*, trutniu! mówił pater z coraz rosnącym gniewem, łapiąc biednego Wawrusia za ucho, aż się nieboraczysko nagiął, jak łuk silnie struną baranią ściągnięty. Ja się o nic nie pytam. Ty wiesz, bo musisz wiedzieć. Gadaj zaraz, a jak nie, to wały.

— Ale... pr... proszę pana profesora..., jękał Wawruś płaczkliwym głosem.

— No i cóż, proszę, proszę... gadajże przecie mazgaju!

— Ale bo... ja... nie uważałem, ja... nie wiem.

— Ach! nie wiesz!

to mówiąc pater puścił nagle ucho Wawrusia, że ten aż w tył się potoczył i byłby upadł, gdyby nie znalazła się tam ławka, która go powstrzymała.

Ale gorzej go jeszcze przestraszył grzmiący głos patra, który zawołał nagle:

— Kalefaktor!

Na to zawołanie, jakby za zadzwonieniem w jasełkach wystąpiła z za pieca ogromna postać Marcina Skołuby, kalefaktora. A trzymał on już w ręku godło swojego urzędu, grubą siedmioramienną dyscyplinę, jakoby już wiedział, że bez tego żadną miarą się nie obejdzie.

— Rozłóż mi na ławie tego trutnia, wrzaskaną pater wskazując na Wawrzusia i wyliczyć mu sześć plag oblewanych.

Dictum faktum¹⁾.

Kalefaktor wyciągnął Wawrzusia na przypiecku, zasłona spadła, a my słyszeliśmy tylko już stamtąd uderzenia dyscypliny, następujące miarowo jedno po drugim, płacz i wyrzekanie biednego Lipy i grzmiący głos kalefaktora, który za każdym uderzeniem wołał:

— *Negligens Laurentius poenam habet*²⁾.

Wszystkie *laudes, tam partis Romanae quam Graecae*, nawet *laudes* dyktatorskie zostały za jednym zamachem przez patra zmasowane, studentów zaś obliczono podług miejsc które zajmowali i każdy na którego dziesiąty wypadł numer, poszedł zająć miejsce na *scammum asinorum* przy piecu.

Wawrzusiowi zaś odebrano książkę cenzorską, a na domiar kary włożono mu na głowę słomianą koronę z wielkimi sterczącymi uszami i kalefaktor oprowadzał go w takiej koronie po całej klasie, wołając za nim:

— *Asinus asinorum in saecula saeculorum*³⁾.

Wprawdzie biedny Lipa został za to wszy-

¹⁾ Jak powiedziano tak i uczyniono.

²⁾ Niedbały Wawrzyniec otrzymuje karę.

³⁾ Osieł osłów, na wieki wieków.

stko sownie wynagrodzonym przez Michałka, ale co się nacierpiał, to nacierpiał, a i to prawda, że cierpiał nie za swoje.

Nazajutrz przyszedł do klasy ksiądz prefekt i oświadczył wszystkim, że Wawrzyniec Lipa, jako niegodny cenzorskiej dystynkcji, usunięty zostanie od tego urzędu, a na jego miejscu mnie zanominowano.

Tym więc sposobem zostałem cenzorem.

V.

Jak to nie łatwo dostać ubioru na sędziów żydowskich.

Nadmieniłem już raz o tem, jak cieszyłem się zrazu z tej dystynkcji, która mnie spotkała, sądziłem bowiem, że przy zręczności będę sobie umiał tak postępować, żeby i wilk był syty i owca cała.

Ale nauczony przykładem Wawrusia postanowiłem sobie z góry, że będę z wielką punktualnością notował przekroczenia przeciwko ustawie szkolnej popełnione, nie bacząc na groźby, ani nawet podarunkom folgi nie dając. Bo wstyd, jaki spotkał biednego Lipę, wydawał mi się stokróć groźniejszym od wszelkiej zemsty, jakąby koledzy wyrzucić na mnie mogli.

Z początku szło jeszcze jako tako. Zawsze przy rachunku sobotnim zdawałem księdzu prefektowi moje petulantes. Nie obyło się tu i owdzie bez wymysłu, a nawet szturchańca, ale że i mnie Pan Bóg dał gębę nie od próżnego jedzenia ka-



„Asinus asinorum in saecula saeculorum“

szy, a na szturchańca odpowiadałem lepszymi szturchańcami, kompensowało się to jakoś i nie była mi jeszcze krzywda.

Zauważyłem jednak, że Michałek jakby zadsadził się na mnie, bo kiedy tylko mógł, płatał mi psikusy, a nawet podmawiał przeciwko mnie kolegów, nazywając mnie *lizusem* i *księżym pieczeniarszem*.

I ja też oddawałem mu pięknem za nadobne, bo szczególną na niego zwracałem uwagę i nie szczędziłem mu naciągów, tak że karteczka z jego nazwiskiem wyglądała nieraz jak owe pióro papierowe, które żaki chodzące z jasełkami przypinają hetmanowi króla Heroda do kapelusza.

Aż nareszcie miał miejsce wypadek, od którego wzięło początek wszystko złe, które mnie dotychczas prześladowe.

A stało się to w następujący sposób:

Na Kazimierzu mieszkał bogaty żyd kupiec, nazwiskiem Samuel Hirs, który utrzymywał wielki sklep tandetny.

Ale nie tylko samą sprzedażą tandetną trudnił się Samuel. U niego wszystkiego można było dostać. Mogłeś się u Samuela i najeść i napoić do syta, i oporządzić się cały, i zaopatrzyć się we wszelkie potrzeby, ba, zbytki nawet, któreby ci przez myśl przeszły. Samuel handlował kosztownymi klejnotami, towarem złotym i srebrnym, śledziami, piwem i miodem, i starzyzną wszelką, i nowymi towarami na sztuki, a nawet broni można było u niego dostać. Słowem nie było takiej rzeczy, którejbyś u Samuela nie mógł dostać, a zwłaszcza za gotówkę, trzeba mu bowiem przyznać, iż borgować nie lubił. Chociaż dla studentów był on mniej twardy niż dla kogo innego i często, zdarzało się,

że u Samuela student mógł dostać na kredyt to,
o co inny napróżnoby się prosił. I dla tego



Samuel Hirsz

wszyscy kupowaliśmy w jego sklepie, co który

potrzebował, a Samuel miał się dobrze ze studentów, bo choć czasem ten lub ów go zawarł, to reszta wypłacała się regularnie, a pomnożenie handlu pokrywało te małe niedobytki.

Więc zdarzyło się, że na Święto Trzech Króli, wzorem innych szkół i szkoła kantorów miała odegrać pewne misterium¹⁾, które umyślnie dla nas napisał był ksiądz Gerwazy, z kollegium OO. Jezuitów. Było to wielkiej piękności poema, całe na wpół po łacinie, na wpół po polsku, jak przystawało na taką wniósłą rzecz, a napisana arcsztucznie, bo często wyrazy łacińskie z polskimi rymowały, że to aż ucho radowało się od takiej wdzięczności. Wyobrażało ono wejście do Jeruzalem naszego Pana Jezusa Chrystusa i Jego potem osądzenie. A wchodził tam Herod i Piłat i żydy przeróżne i poganinowie rzymscy, i nawet po trosze ze wszystkich innych narodów świata. Więc wielka mogła być okazałość przy owem przedstawieniu, które gdyby dobrze poszło, szkoła mogłaby zarobić sobie sporo grosza. Zwłaszcza, że i śpiewy były tam wplecione, mianowicie przesłiczny chór Aniołów odzywający się podczas sądu, przepowiadający łotrowi Judaszowi szubienicę. A podówczas studenci chodzili z takimi misterjami po zamożniejszych

¹⁾ Rodzaj dramatów religijnych, które OO. Jezuici umyślnie komponowali dla studentów i które ciężkowali.

domach szlacheckich i mieszczańskich, gdzie oprócz ugoszczenia nadarzał się spory zarobek. Było to nawet jedynym funduszem uboższych, którzy czekali na owe przedstawienia, jak kania na deszcz, ażeby sobie po trosze grosza uciuć.

Ale żeby owo przedstawienie doszło do skutku, nie dość było rozdzielić pomiędzy sobą role, nauczyć się na pamięć wierszy, wyznaczyć śpiewaków i takowych *expedite* wyćwiczyć przy organach, ażeby w takt i bez żadnego zamieszania śpiew swój odbywali. Trzeba było jeszcze wydostać stosowne ubiory, boć to przecie żadną miarą król Herod, Piłat i Faryzeusze, więc i żołnierze i inne nacje, które tam wchodziły, nie mogli występować w kapotach i kubrakach, które służyły nam za zwyczajne ubranie.

W tem właśnie był sęk największy.

Jak zwykle na takie trudności, jedyna rada mogła tylko się znaleźć u Samuela. Przyborów miał on podostatkiem, bo nietylko nasza szkoła w dawniejszych latach, ale i inne brały także od niego ubrania do misterjów, po użyciu zaś odkupował on to wszystko hurtem, odnawiał, przerabiał i znowu na rok przyszły sprzedawał studentom. Szło tylko o to, żeby Samuel nie chciał odmawiać kredytu, bo na zakupienie nie mieliśmy dosyć pieniędzy, a mogliśmy tylko wypłacać częściowo należność po przedstawieniach, jeżeli one

dobrze pójdą. Ale wszakżeż Samuel wiedząc, że mu się zawsze rzetelnie wypłaca, nie powinien był w tem robić trudności.

Wydelegowano więc ze szkoły trzech uczniów, którzy mieli iść do Samuela, wybrać stosowne ubiory i w imieniu całej szkoły zrobić z nim ugodę. A że to wszędzie Michałek jednym z pierwszych musiał się znaleźć, więc należał i on do tych delegowanych.

Samuel przyjął ich, jak zwykle bardzo uprzejmie i gdy mu wyłuszczyli interes z którym przychodzą, zgodził się chętnie na wypożyczenie ubiorów, które uczniowie sami mieli wybrać.

Otworzywszy więc drzwi od osobnego składu, wprowadził ich tam i ujrzeni wiszące na stalugach i leżące na pudłach rozliczne ubrania w tak wielkiej ilości, że możnaby niemi przystroić cały pułk cudzoziemskiego pokoju.

Poczęli więc wybierać i odkładać na stos wszystko, co im się wydawało stosownem do misterium odegrać się mającego.

I już prawie wszystko się tam znalazło, tylko brakło ubiorów na sędziów żydowskich.

— Panie Samuelu — odezwał się Michałek do kupca, który podczas całego tego wybierania chodził z rękami za pas założonemi i cmokał językiem z wielkiej admiracji tyłu pięknych rzeczy,

które się u niego znajdują — panie Samuelu, potrzeba nam jeszcze ubiorów na sędziów.

— Ny... a jakich sędziów? czy ziemskich, czy grodzkich, czy może nawet jaśnie wielmożnych deputatów? U mnie wszystko jest? albo tu czego braknie, nietylko sędzia, ale nawet starosta i kasztelan mógłby się oporządzić w moim składzie. Cóż to trudnego ubrania na sędziów? alboż tu niema kontuszów i żupanów i pasy lite, że aż oczy bolą od wszelkiego przepychu?

— Eń, nie o takie ubrania nam chodzi. Do tego, czego potrzebujemy, kontusze i żupany na nic, nam trzeba takich strojów, w jakich chodzili sędziowie żydowscy za czasów króla Heroda.

— A kto ich tam wie w jakich oni ubraniach chodzili? — odpowiedział Samuel, gładząc się po brodzie. — Musiały to być stroje od złota i srebra, bo żydzi w ten czas byli wielki naród i bardzo bogate, bardzo bogate! nie tak jak teraz.

Studenci poczęli się naradzać między sobą.

— Ot! wiesz co, panie Samuel — rzekł po chwili Michałek — łatwo będzie temu zaradzić. Dasz nam pan kilka takich ubrań, w jakich wy chodzicie od wielkiego święta, jakto ja raz widziałem przez okno w bóżnicy... takie białe z paskami czarnymi.

— Jako? śmiertelne koszule?

— Ja tam nie wiem, jak się to u was nazywa, ale wiem, że kiedy się w święto w to ubieracie, to musi to być jakiś bardzo paradny strój.

— Co! — zawołał Samuel, a widać było, że mu ta myśl nie bardzo się podobała — a na co to wam?

— Przystroimy w to sędziów, którzy sądzili Chrystusa Pana i których my mamy przedstawiać.

— Nu... to wystrójcie ich sobie w co innego, bo ja wam śmiertelne koszule nie dam.

— Ależ panie Samuelu...

— Nie dam, żebym wrósł pod ziemię, nie dam, — wołał Samuel, a wargi mu się trzęsły od wielkiej alteracji, — to nie wolno, to grzech, to wielkie kare i pokute za to. Co to, śmiech? Ja i koszule nie dam i nic nie dam. Idźcie wy sobie do kogo innego, bo ja nic nie dam.

To mówiąc, począł zdejmować ze stosu wszystkie wybrane ubiory i układać je na nowo w pudłach.

— Ależ, panie Samuel, jakżeż możesz nam to robić, odezwał się Łukaszek, jeden z tych dwóch, którzy przybyli z Michałkiem, wiesz dobrze, że my gdzieindziej nie pójdziemy, bo tylko u ciebie możemy znaleźć to, czego nam potrzeba.

— Szukajcie sobie gdzie chcecie, a odemnie nie dostaniecie nic.

— Ale nie zabieraj nam pan tego przynajmniej, cośmy wybrali.

— Co wybrali? jak wybrali? A pieniędzy gdzie? Ja będę im dawał towar bez pieniędzy, żeby mi takie prześliczne ubiory zniszczyli i nie



ujrzeli wiszące na stalugach i leżące na pudłach
rozliczne ubrania...

zapłacili potem? Bez pieniędzy takie przepyszne haftów, co to aż szych z nich kapie. I takich materjów i aksamitów, co by niemi najpiękniejszy płaszcz królewski można podrepe-

rować. Idźcie wy sobie precz, ja was nie chcę, ja w wasze szkołę nie wierzę.

Na te słowa Michałek i tamci dwaj inni wpadli w wielką irytację, zwłaszcza iż widzieli, że żyd ostatni już ubiór żołnierza rzymskiego wieszka na kołku.

— Jak ty śmiesz nie wierzyć naszej szkole? zawołał Michałek.

— Czy nie wiesz, że szkoła kantorów jest najrzetelniejszą ze wszystkich; to ozdoba szkół krakowskich!

— Oj we! zawołał żyd, otrzepując z pyłu kask tekturowy z kogucim pióropuszem, wy sami hołysze, wybyście się wszyscy razem nie złożyli na jednego talara bitego. Albo to wy szlachta, albo co?

— A ty błaźnie jeden! wrzasnął Michałek dotknięty do żywego ujmą szkole kantorów zadaną, dam ja ci tu!

I dalejże na żyda.

A za nim dwaj drudzy.

A nie powiodła im się ta wyprawa, za Samuelem bowiem były drzwi, za drzwiami sklep, a w sklepie pełno różnego nagromadzonego żydowstwa. I kiedy zastraszony kupiec cofał się w tył, wrzeszcząc przeraźliwie, hurm obiegł trzech studentów i z krzykami, wymysłami, ba, nawet szturchańcami w mgnieniu oka wytransportowa

ich za drzwi aż na ulicę. Michałek i dwaj jego koledzy sami nie wiedzieli jak się tak znaleźli, a stało się z wielkim dla nich despektem, boć to nie było pono jeszcze przykładu, żeby studenci musieli przed żydami uciekać.

*Ale nec Hercules contra plures*¹⁾.

VI.

Wyprawa na Samuela.

Więc kiedy skrzywdzeni posłańcy powrócili do szkoły i opowiedzieli smutny koniec wyprawy, a nawet pokazali rozdarte w kilku miejscach suknie, stał się w szkole wielki rumor i alarm.

Zpoczątku szumiało to i burzyło, jako w pniu pszczoły, kiedy nierozważna jaka ręka podniesie pokrywkę od ula. I różnorodne głosy dawały się słyszeć, ten gadał to, ten owo, a każdy krzyczał ciągle, machano rękami, stukano w ławki. I humor rósł ciągle, aż wreszcie wszystkie te głosy pomieszane razem godziły się z sobą, jednostajniały, wszystkie zaciśnięte pięście w jedną wymierzyły się stronę i powoli cały ów gwar jedno brzmącym stał się okrzykiem:

— Hejże na Kazimierz!

¹⁾ I Herkules nie poradzi kiedy kilku przeciwko niemu.

Więc w jednej chwili wszystko, co podpadło pod rękę, zrobiło się bronią. Ten porwał linję, ten kałamarz, a ów pierwszą lepszą szczybę z drzewa opałowego. A że było to właśnie na wychodnem do godzin rekreacyjnych, obwołano się po klasach i ruch powstał wszędzie. I wnet całe to mrowisko wyległo ze szkoły, dążąc przez ulicę Grodzką w stronę Kazimierza, z wrzaskami i odgrążaniem się. Na czele zaś szedł Michałek, niosąc jako sztandar wielki kij poczerniały u góry, którym kalefktor zwykle w piecu ogień poprawia. Do kija zaś tego był przylepiony arkusz papieru, na którym było napisane wielkimi literami:

„Pro honore scholarum“¹⁾

A i ja musiałem iść wraz z innymi, ciężko bowiem było zostać się samemu. W takich razach dezertor mógł srożej jeszcze ucierpieć, aniżeli ci, na których szła napaść; — uważano by go za odstępcę, za zdrajcę, a po powrocie z wyprawy ciężkie czekałoby go przejście — basy nieomyłne. A studenci kiedy biją, to nie żartują, zwłaszcza jak tyle na jednego. Iść zaś nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa, wyprawy bowiem takie były we zwyczaju podówczas, uważano je jako jedną z prerogatyw swobód szkol-

¹⁾ Za cześć szkół.

nych i jedynie tylko zwierzchność szkolna mogła z nich sąd odprawować.

Więc kiedyśmy doszli na Kazimierz, zobaczyliśmy że żydostwo uprzedzone już było o naszym przybyciu. Ulice puste, sklepy pozamykane, tylko tu i ówdzie ciekawa głowa żydówki, albo strwożonego dzieciaka wyglądała z poza drzwi sieni, lub bramy wchodowej, ale skorośmy dochodzili, drzwi i bramy zatrząskiwały się i wszystko dokoła wyglądało pusto, samotnie i zamknięto, jakby w jakie święto żydowskie. Ale z domostw, jakgdyby z bożnic, odzywał się gwar pomieszany, i z tego lub owego poddasza wychyliła się szybko głowa, obwołująca nas hasłem nieprzyjacielskim:

— Łapserdaki! zbóje!

Ale zanim kto z nas zdołał spojrzeć ku górze, wymierzyć kamieniem, albo nawet pięścią się odgrozić, już głowa kryła się szybko, okienko zamykało i cichość zalegała dom cały, jakby makiem zasiał.

Tak doszliśmy aż przed dom Samuela.

Jeszcze większa cisza tu panowała, a dom ten jeszcze srożej obwarowany był od innych. Wszystkie okiennice zamknięte, wszystkie drzwi pozaryglowane. A brama zaparta, silnie i dobrze zaopatrzona, boć to jeszcze z pobytu Szwedów

w Krakowie pozostało w zwyczaju u żydów kazimierskich dobrze opatrywać bramy.

Niewiele jednak myśląc, wzięliśmy się do szturmu. A, że idąc tam, zbieraliśmy po drodze kamienie i każdy z nas przyniósł ich zapas z sobą, więc jak na komendę wszystkie one razem sypnęły się na dom, który był jednopiętrowy. Dołowi nic się nie stało, bo dół był opatrzony okiennicami, ale na pierwszym piętrze wszystkie szyby brzęknęły od razu i mało która została się całą. Kamienie wpadły do izby i musiały tam sprawić niemały alarm i alterację, bo usłyszeliśmy naraz silny wrzask wylęknionego żydostwa, jak gdyby wszystkich ich tam razem nożem rżnięto po gardle.

Ale nie o to chodziło. Trzeba było się dostać wewnątrz domu; a jak się dostać, kiedy tak pozamykano wszędzie, żeby i szpilka się nie wcisnęła. Do okien pierwszopiętrowych było za wysoko, zaś bramę wywalić niepodobieństwo, a przewidzieliśmy to od razu, bo nieraz w wyprawach podobnego rodzaju wszystkie usiłowania nasze rozbiły się o takie przeszkody.

Więc podczas kiedy młodzi, zbierając ciągle nowy zapas kamieni, dobijali reszty szyb w domu, kilku starszych, pomiędzy którymi był i Michałek, złożyło pomiędzy sobą walną naradę, z której wypadło, że kiedy od ulicy wejście jest niemoż-

wem, trzeba, żeby jedna część szturmujących ciągnęła dalej z tej strony oblężenie, drudzy zaś mieli obejść domostwo i tyłami od podwórka starać się dostać do tej fortecy, tak silnie obronnej.

Tak też i uczyniono.

Niedaleko po za obleganą kamienicą szła przecznica, prowadząca na boczną uliczkę, na którą wychodziły tyły samuelowego domu. Dla niespodzianki przypuszczono szturm jeszcze ostrzejszy, a tymczasem kilkunastu stanowiących ową wycieczkę, wybiegło chyłkiem w przecznicę i, okrążywszy ową uliczkę, znalazło się we wskazanem miejscu. Cisza tam panowała jak i gdzieindziej, ulica stała pustkami, bo wszędzie był już dany alarm i żydostwo pospieszyło ukryć się przed niebezpieczeństwem.

Tył domu Samuela stanowił parkan bez żadnego wejścia, a do parkanu tego przytykały różne budynki gospodarskie, szopy, komórki i inne schowania, których dach górował ponad parkiem. Trzeba było więc przeleźć przez owo ogrodzenie, a znalazłszy się na podwórku, łatwo już z wewnątrz z bramą można sobie dać radę.

Ale w tem właśnie sęk jak przeleźć, bo parkan był wysoki, gładki i ostremi na wierzchu najeżony kolcami, naokoło zaś nigdzie ani drabiny, ani deski, ani żadnego zgoła innego narzędzia, któreby ku temu prześciu mogło dopomóc.

Zaczęli więc dokoła obchodzić ów parkan, szukając dziury jakiej, albo luki, przez którąby się przycisnąć można, ale wszystko było w do-
 brem zachowaniu, Samuel bowiem, jako człek
 majątny, dbając o swój dobytek, pilnie się obwa-
 rowywał przeciw złodziejstwu i miejsca uszko-
 dzone natychmiast kazał naprawić, ażeby się
 tamtędy jaki złoczyńca nie zakradł do domostwa.

Kiedy więc tak chodzą a radzą, jeden z nich
 wpadł na myśl, która zaraz pomiędzy wszystkimi
 ogólne uznanie znalazła.

— Kiedy nie możemy przejść przez wierzch
 — zawołał — trzeba się podkopać. Wszakże z zie-
 mią nie taka trudna sprawa jak z drzewem.

Wszyscy klasnęli w ręce i zaraz uchwalono
 ogólnie pójść za tą radą.

Ale jakże się tu podkopać, kiedy nie było
 ani łopaty, ani rydła, ani żadnego innego narzę-
 dzia, potrzebnego w takim razie.

Na wszystko jednak znajdzie się rada.

Z pod owych tylnych zabudowań wychodził
 kanał, który prowadził aż do środka uliczki i tam
 łącząc się z rynsztokiem głównym, uliczkę na
 dwie połowy przecinającym, ciągnął się już tą
 drogą dalej, żeby dopełnić zwykłego swojego
 kanałowego przeznaczenia. A kanał ten był pod
 owe czasy suchy, chociaż pełny śmiecia różnego,
 które woda pozabierała z sobą. Trzeba więc

było uprzątnąć to śmiecie i wyłamać na wpół zmurszałą drewnianą kratkę, która chroniła wejścia kanałowego, a już tak rozszerzonym otworem można się było łatwo przedostać wewnątrz.

Dla ludzi dorosłych trudna może byłaby to sprawa, ale studenci to jak szczury, przez lada dziurę się przecisną.

Uprzątnięto więc wprędce śmiecie i wyłamano kratkę, z którą nie było nawet kłopotu, bo pręty ledwie się trzymały. Pierwszy Michałek, położywszy się brzuchem na ziemię, czołgając się jak wąż, prześliznął się przez otwór przy pomocy kolegów, którzy z tyłu nogi mu pchali. Za nim poszli inni i łatwiej im już było, bo ci, którzy się byli przedostali pierwsi, ciągnęli za ręce ostatnich i tym sposobem w niedługim czasie wszyscy studenci, przemknąwszy się przez ów otwór, stanęli zdrowo na nogach. Ale nie na tem jeszcze był koniec trudności, jakie ich miały spotykać.

Do tego parkanu, jak powiedziałem, dotykały różne zabudowania gospodarskie, które się przez większą część jego długości ciągnęły. A miejsce właśnie skąd wychodził ów kanał, przez który się prześlizgnęli studenci, zajęte było przez szopę, służącą za skład różnej starzyzny i zniszczonego rupiecia. Szopa zaś ta była zamkniętą. Więc, przedostawszy się do środka, napastnicy znaleźli

się nagle w wielkiej ciemności i trudno było ruszyć kroku naprzód, na prawo, czy na lewo, bo ze wszystkich stron stały tam różne sprzęty, połamane stołki, stoły, kufry, skrzynie, rozmaite deski i żelastwo, tak że pomiędzy nimi niepodobna prawie było sobie utorować drogi, a dopieroż, nie wiedząc w której stronie drzwi się znajdują.

Ale po chwili pobytu w owej szopie rozjaśniło się im jakoś w oczach. Światło z zewnątrz pochodziło powoli przez różne szpary i otwory, deski bowiem służące do budowy szopy, nie były tak starannie zbite jak w parkanie, z przyczyny, że swojego nie ma powodu tyle lękać się ile cudzego.

Dopieroż tedy przystąpiono do dalszej wędrówki, co było niełatwą rzeczą. Trzeba było przelazić, podłazić, uprzątnąć jedno, pochyłać drugie i torować sobie drogę pomiędzy całym składem rupieci. A niemało to zabrało czasu, i niemało nastęczyło trudności.

Podczas tego, z zewnątrz od głównej ulicy dochodziły głuche uderzenia kamieni o okiennice i ściany domu, krzyki oblegających i od chwili do chwili wrzask, dowodzący, że kamień przez wybitą przerzucony szybę, musiał kogoś trafić, albo zbić jaki sprzęt drogocenny.

Tymczasem studenci w szopie, kierując się

powoli za światłem, dostali się do ściany przedniej i wprędcie namacali drzwi wchodowe.

Otworzono je bez trudności, bo były przymknięte tylko.

Napastnicy znaleźli się na podwórku, ale tak pobrudzeni błotem i powaleni na rękach i twarzach, że nie byli nawet do boskich stworzeń podobni.

Ale nie o piękny wygląd szło, bo nie przyszli oni tam, żeby się podobać, ale żeby pomóc się za doznaną porażkę.

Więc jednym skokiem przebiegłszy podwórze, wpadli szybko do bramy, odrzucili drągi zapierające ją, w tej chwili stanęła ona otworem, a ciżba oblegających studentów wcisnęła się do fortecy.

VII.

Napad.

— Gwałt! Robójniki! — wrzasnęło kiedyśmy wpadli do bramy dwóch żydków, stojących na straży przy drzwiach tylnej izby sklepowej, gdzie się zamknęła była cała rodzina Samuela i czemprędzej usunęli się w głąb zatrzaskanwszy drzwi za sobą.

Ale te drzwi nie mogły już być dla nas zaporą. Wprędcie przelamaliśmy je, a przydały

nam się do tego drągi, które przed chwilą służyły ku podpieraniu bramy.

Ujrzeliśmy się w sporej izbie, otoczonej do koła półkami ponad którymi powbijane były kołki. Na półkach leżały rozmaite towary; na kołkach zaś były porozwieszane ubrania przeróżne. Na środku izby stały kosze pełne butelek i skrzynie jedne próżne, drugie nie pootwierane jeszcze. W samej zaś głębi była wielka szafa z rzeźbionego drzewa, z drzwiami na wpół oszklonemi, a po za temi drzwiami widać było rozmaite sprzęty złote i srebrne, świeczniki, puhary, półmiski, tace itp.

Wokoło tej szafy jako najcenniejszego sprzętu zgromadziła się cała rodzina Samuela. Sam Samuel w czarnym atlasowym chałacie, opasany jedwabnym pasem, w aksamitnej jarmułce na głowie, stał pośrodku, wzrostem przewyższając wszystkich. Tylko widać domyślał się, że to na sucho tak nie przejdzie, bo blady był bardzo, a siwa broda trzęsła mu się ze wzruszenia.

Opór był niepodobny.

W jednej chwili porozganiane żydostwo rozpierchło się po kątach, a Samuel ujrzał się pośród nas ze wszech stron otoczony.

Przestrach odebrał mu siły i padł na ziemię jak długi, nieruchomy, iście jakby już zupełnie pozbawiony życia.

A nas wszystkich skorośmy to zobaczyli zdjął wielki strach i alteracja. Myśleliśmy, że Samuel z przerażenia umarł na prawdę, a to już nie były żarty, to była sprawa gardłowa.

Więc nagle w izbie zrobiło się jakby wymiółł, wszyscy wybiegli na ulicę i każdy uciekał w swoją stronę, nie oglądając się poza siebie i starając się tylko czempędzej dostać do domu.

VIII.

Ślusarz zawinił, a kowala powieszono.

Wiadomo waszmości, że było to na te czasy w zwyczaju i takie błazeństwa uchodziły studentom, ba nawet sądzono, że przynależy to do ich przywilejów. I każdy sądził, że jest w swem prawie takie psie figle wyrządzać, a ludzi niewinnych obracać na wszelkie sposoby, jako zająca, kiedy go znagła psy w polu opadną. Przed kilku dopiero laty, po zaprowadzeniu szkół pijarskich, zmieniło się to jakoś i straż miejska wdaje się w one burdy, które zaprawdę brzydka i plugawą dla młodzieży stanowią rzecz. Boć do nauki im się przykładać, a nie za żydami gonić i krzywdzić takich, którzy im nic złego nie zrobili.

Ale chociaż tego rodzaju wyprawy uchodziły wówczas ogólnie, to Samuelowa sprawa zanadto

wielkie sprawiła zgorszenie i zanadto głośną się stała, ażeby się nie miała wdać w to zwierzchność szkolna. I stało się tak, że kiedyśmy zaraz razem nazajutrz jakgdyby nigdy nic, zgromadzeni byli wszyscy razem w izbie szkolnej, wszedł nagle ksiądz prefekt, a za nim pater Kolenda i pater Sulpicjusz, dwóch profesorów, którzy służyli największym rygiorem pomiędzy innymi.

Dopiero więc zaczął się sądny dzień. Boć to dla tych, którzy okazaliby się promotorami całej sprawy, groziło wypędzeniem ze szkoły. Wprawdzie Samuel nie umarł, jakeśmy to zrazu myśleli, ale zwiedzieliśmy się już byli, że od wielkiej alteracji srodze zaniemógł i położył się w łóżko, przez którą to chorobę sprawa nasza zły bardzo przybrała obrót. Więc u każdego dusza była na ramieniu.

Ale jako to znane jest wszystkim studenckie przysłowie:

— Choćby cię pieczono i smażono w smole,
Nie powiadaj co się dzieje w szkole,
każdy przysięgał sobie w duchu, że winnych nie wyda, chociażby najsroższy rygor miał wszystkich razem dotknąć.

Tak było z innymi, ale ja niestety inny wyrozumowałem sobie pogląd na te rzeczy. Wiedziałem dobrze, że kiedy jestem cenzorem klas,

to do mnie jak w domu wszystko się obróci. Przemilczeć nie na wiele się zda, bo czy winowajcy znajdą się czy nie, na mnie zawsze spadnie odpowiedzialność. Więc już lepiej, nie czekając na dalsze złe skutki, wymienić kogoś winnego i tym sposobem, zrzuciwszy na jednego całą przewinę, ocalić resztę i siebie i wyjść gładko z całego tego kłopotu.

I zarazem złe jakieś szeptało mi do ucha.

— Ot masz teraz najlepszy sposób pomścić się na Michałku, wprowadzie wszyscy są winni zarówno, boć zamiar pomsty na Samuela iście od wszystkich poszedł, ale Michałek jako ma zwykle psie figle w głowie, nie mało się do tego przyczynił. A choć go wypędzą, nie wielka będzie szkoda dla niego, bo wszak pan Marcin ma pełne skrzynie pieniędzy, a z pieniędzmi jeszcze nikt nie zginął na Bożym świecie. Nie skłamiesz tedy bardzo, a będzie to dobry sposób uwolnienia się od przekory, który ci wiecznie stoi w drodze.

I słuchałem tego głosu, nie bacząc, że tak zwałać na jednego ciężar winy wszystkich, niepoczciwym jest postępkim i że oskarżając kolegę i towarzysza, usprawiedliwiam owo miano lizusostwa, które już się do mnie było przyczepiło. Boć jeżeli wszyscy zgrzeszyli, wszyscy powinni być zarówno karani, a nie jeden, który nic gorszego nie zrobił od drugich.

Rozpoczęła się tedy indagacja.

Ale chociaż każdy przyznawał się do winy, nikt nie chciał wskazać głównych winowajców, składając na całą klasę odpowiedzialność. I sądzili już wszyscy, że całą rzecz się skończy na zmazaniu laudesów i odesłaniu sprawy do obrachunku sobotniego, jeżeli przez ten czas mały stopień dodany klasie, nie zmaże się jaką wielką zasługą, kiedy nagle ksiądz prefekt wywołał mnie z ławki.

— Bartoszku — rzekł on do mnie — ty powinieneś wiedzieć o wszystkim, boć to twoja rzecz, wszakże cenzorem jesteś — więc oświadczam ci tutaj, że jeżeli nie wskażesz mi zaraz nazwiska głównego inicjatora, otrzymasz za niego karę i wypędzę cię ze szkoły, jako nic dobrego, który bąki zbijać lubi, a porządku nie pilnuje.

Mogła się spełnić ta groźba, mogła i nie. A nuż się spełni. A wówczas wstyd, a rodzic, a ów monitor boćkowski, który wisiał u niego nad łóżkiem i którego razy dotąd jeszcze pamiętnymi mi były. A przy tem owo złe ciągle szeptało mi do ucha i wskazywało wydanie Michałka, jako jedyny sposób załagodzenia rzeczy.

Więc, nie namyślając się długo, pokloniłem się księdzu prefektowi do kolan i rzekłem:

— Ja, waszej wielbności powiem, wszystko rzetelnie. Wszyscyśmy winni co prawda, ale ten

oto (i wskazałem na Michałka), zawinił najwięcej, bo on jest przywódcą całej sprawy i od niego wszystko poszło.

Ksiądz prefekt rozkazał Michałkowi wyjść z ławki i, jako człek wielce sprawiedliwy rozpoczął śledztwo.

Naprzód tedy wysłuchano dyktatora, który zaprzeczył wręcz mojemu twierdzeniu, mówiąc, że Michałek nie jest więcej winnym od innych, że jak to się zwykle dzieje za ogólną naradą, chcieliśmy Samuelowi szkolnego wyrządzić psikusa, nie przeczuwając nigdy, iżby to tak złe miało sprowadzić skutki.

Że wszyscy boleją bardzo nad niemocą Samuela i poddają się rygorowi, ale nie chcą zwałić ciężaru kary na jednego, który nie więcej od innych przewinił.

Toż samo powtórzyli audytorowie.

Toż samo i inni studenci zawezwani do składania zeznania.

Nawet kalefktor wylazł z za pieca i kanalja przyspożył jeszcze mi biedy, prawiąc, że ja równie jestem winny jak Michałek, boś nic nie oponował przeciwko tej wyprawie, biorąc w niej chętny udział, a teraz kosztem drugiego chcę być biały jak baranek.

I tak na mnie spadły jak grad wszystkie te zeznania, a i tak już poprzednio cała klasa obu-

rzoną była na mnie, że folgując osobistej nieprzyjaźni, chciałem nienawistnemu sobie Michałkowi zaleźć za skórę.

Stałem tedy na miejscu jak zbity, nie śmiać spojrzeć w oczy księdzu prefektowi, ani dwom innym patrom, a język tak mi jakoś zamarzał w gębie, że nie mogłem powiedzieć ani jednego słowa na moje usprawiedliwienie, chociaż przeczuwałem, że się to źle dla mnie skończy.

Wkrótce też usłyszałem głos księdza prefekta, który tak wydał wyrok:

— Wszystkie laudesy się mażą, cała klasa otrzymuje malam notam i pozbawioną zostaje rekreacji przez trzy tygodnie.

Cenzor zaś jako nieświadomy rzeczy, a starający się usprawiedliwić kłamliwemi doniesieniami, skazany zostaje na *poenam talionis*¹⁾, która natychmiast ma mu być wymierzona, na zrucenie z urzędu i na podwojone *pensa*²⁾ które do soboty odrobić ma, a które szanowny ojciec Godziemba *ex ordine poenarum*³⁾ zadać mu zechce.

Owa kara *talionis* zasadzała się na tem, że obwiniony musiał dobrowolnie położyć się na ławie na środku izby szkolnej wystawionej, a każ-

1) Kara odwetu. 2) Zadania na pamięć, których z porządku rzeczy, każdy uczeń musiał wyuczyć się w tydzień. — za karę zadawano podwójne, potrójne i t. d.

3) Z porządku kar.



Stałem tedy na miejscu jak zbity, nie śmiąc spojrzeć w oczy ks. prefektowi . . . (str. 64)

Zbigniew Roszkiewicz
Poznań

dy uczeń, zdjąwszy but z nogi, uderzał go raz cholewą, co wprawdzie wiele nie przynosiło bólu, ale dla ukaranego wielce było wstydzającym i haniebnem.

I stało się tak na uciechę wszystkim, a mój srom tem większy, że znikąd nawet żadnego nie doznałem współczucia.

Zadano mi przytem wielkie pensa, które zależały na wyuczeniu się *expedite* na pamięć trzystu wyrazów łacińskich, a to takich, które nie były w zwykłym użyciu, a więc nieznanych mi wcale i powtórzeniu ich przed patrem bez obrażenia miary i porządku.

I tego wszystkiego pod zagrożeniem plag musiałem się wyuczyć do soboty, a działo się to we czwartek!

IX.

**Jako to człek nie wie, co z za pieca
wyleźć do niego może.**

W mieszkaniu tedy naszym siedziałem przed stolikiem, a przedemną rozłożona była gramatyka *Alwara*¹⁾ z dołączonym do niej słownikiem, z któ-

¹⁾ Była to książka wówczas ogólnie w szkołach używana. Nie jeden z piszących pamiętniki skarży się, że musiał nad nią oczy wyplakiwać.

rego miałem się wyuczyć zadanego mi *pensum*.

Rodzica nie było w domu; wyszedł był bowiem w gościnę do sławetnego¹⁾ Macieja Wawrzyka, płatnerza, który mieszkał obok Florjańskiej bramy, a do jednego bractwa z rodzicem należał.

Ósma godzina z wieczora biła właśnie na zegarze Marjackim.

Od dwóch godzin ściemniło się już na dobre; noc była czarna, żadnej gwiazdy na niebie, które całe wokół zasunięte było gęstymi obłokami. Na ulicach gwar miejski ustawał powoli.

Na stoliku, przed którym siedziałem, paliła się cienka świeczka, osadzona w glinianym lich-tarzu domowej roboty, a dająca więcej kopcia aniżeli światła. Świeczka ta oświecała zaled-wie środek izby, bardziej oddalone ściany i ką-ty pozostawiając w ciemnościach. Nie dojrzałby ani ław pod ścianami, ani obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej, zamieszczonego nad łóż-kiem, z zawieszonym pod nim owem plecieniem narzędziem, o którym kilka razy już wspominałem, ani gitary ojcowskiej, chociaż wisiała ona w najpokaż-niejszym miejscu pomiędzy oknami, jako instrument wielkiej cenneści i w czasie uroczystości używany.

¹⁾ Tytuł sławetnego przynależał się każdemu mieszczaninowi. Ale zwykle w potocznej mowie dawano go tylko tym, którzy piastowali jaką godność cechową lub miejską.

I zaledwie szarzał tylko zdaleka ogromem swoim wielki murowany, świeżo pobielony i w różne czerwone wzory pomalowany piec, wychodzący głęboko na izbę, z ogromnym po za nim przypieckiem, na którym w dzieciennych latach, rad wylegiwałem się w zimie, bo i pierzyna nawet nie grzała tak dobrze.

Już po setny raz może powtarzałem sobie moje słówka, a jeszcze ani jedno z nich nie utkwilo mi w pamięci. Gęba powtarzała wprawdzie *pignus* (zastaw) *pila* (kula) *pilatrix* (złodziejka) ale głowa ani rusz, w głowie całkiem co innego się roiło. Bo i gdzież mi było wówczas myśleć o słówkach, po takim wstydzie, jaki na mnie sprowadziło moje wystąpienie, z którego całkiem innych spodziewałem się zysków.

— No, myślałem sobie, rzeczywiście spałem się jak kozioł w kapuście.

A bogdajto kaczki zdeptały takie miejsce i powinność taką, cò tylko człeku gorzkość i bólu, i wstydu nawarzy. Chciało ci się by cenzorem Bartłomiejku, masz tedy cholewiane splendory i ozdoby, teraz ci wygodnie jak nagiemu w pokrzywach. A jeszcze te słówka! A bogdaj się nigdy nie rodziły takie wyrazy, co ich nawet spamiętać nie można. I co to? Nie donoś, będą wały, donoś, czekają cię basy! Piękna mi szkoła, niękna mi nauka, to wszystko psu na budę się

nie zdało. A tu ślęcz, mozol się, pracuj, żeby ci potem *poenam talionis*¹⁾, zadano i słówek kazano się uczyć. A mnie to po co? Toć zanim dochrapię się owych, jak rodzic prawi, kantorowych delicyj — i skóry się na karku nie zostanie. I na to psuć sobie oczy i mózg suszyć sobie nad Alwarem? Niby to kantorowi wokabułami wojować! — i gdybym się nie bał rodzica i....

I tu przerwawszy sobie, spojrzałem w ową stronę, w której pomiędzy kilimkiem pokrywającym łoże ojcowskie, a obrazkiem Panny Marji, co przed nim wisiał, było miejsce na ów sprzęt przeznaczone.

Ale sprzęt wisiał nieruchomy, a rodzica nie było w domu, więc przyby'o mi jakoś fantazji.

— Hej mój miły Boże! — rzekłem — jak to inni chłopcy w moim wieku nie mozołą się, ani ślęczą nad książkami, a jednak im dobrze się dzieje i wyjdą na ludzi, a może jeszcze prędzej aniżeli ja, z całym moim Alwarem i słówkami. Ot na przykład Franek, syn pana Tadeusza, majstra bednarskiego z przeciwka, chłopak jak drąg, a nie posyłają go do szkoły i nie każą ślęczeć nad książką. — Prawda, że czasem ma wielką robotę, złoży kilka klepek i wbije na nie obręcz dębową, ale robi kiedy chce, a jak nie, to się wyręcza

¹⁾ Karę odwetu.

kim innym, a grosz ma zawsze w kieszeni i wszyscy mu radzi, bo nie żałuje na częstunek. Alboż to on z innego drewna, aniżeli ja? Iście rzemiosło lepsze od książki, bo prędszy zarobek, a przynajmniej nie wypłacze ócz nad Alwarem i nie oberwie po skórze lichu, wie za co. Ale bo po co i rzemiosła? A Fabian, który w zimie z koziołkiem, z gwiazdką i z oracjami chodzi po domach, a w lecie posługuje przy tarczy strzeleckiej, albo też u pana Gotlieba przy kleparzu, czyż mało przy tem nazbiera tyńfów, nie licząc już tego, co wygra w *pliszki* albo w *finfe*¹⁾? To nie słówka. I gdybyż mnie tak pożyć, a przecie i ja nie ułomek, i dać sobie rady potrafię. Ale ta przekłeta nauka!.....

To mówiąc, ze złością pięścią w książkę uderzyłem.

A jakby echo odpowiedziało na to uderzenie, dziwny jakiś dał się słyszeć odgłos.

Wydało mi się, jakby ktoś, co się nagle ze snu zbudził, przeciąga się i ziewa i daje słyszeć ów przedłużony głos piersiowy, który żadnego wyraźnego dźwięku w sobie nie mieści, a który wydają śpiochy, kiedy zmagła zbudzeni rozbudzić się nie mogąc, szerokiem ziewnięciem roztwierając usta, wydobywają powietrze z płuc.

¹⁾ Gry odwetu.

A zaraz potem usłyszałem słowa głośno i wyraźnie przemówione do mnie.

— A czegoż to mnie waść budzisz, kiedy tak smacznie spałem?

Zdziwiło mnie to niepomału, ale i przeraziło jeszcze więcej, boć jak już to powiedziałem, żywego ducha oprócz mnie nie było w izbie.

Ale wprędce oprzytomniałem, zebrałem myśli i otrząśłem się z owego pierwszego przestachu. Głos wychodził z poza pieca, a piec nasz mieliśmy wspólny z drugą izbą, w której mieszkał pan Gawel, woźny urzędu starościńskiego. A że głos z tej drugiej izby łącznie mógł dojść do mnie, nic w tem nie było dziwnego, boć ściana drewniana nie wielką stanowiła przeszkodę. Więc sądząc, że to pan Gawel rozbudzony ze snu, tak mnie monituje za hałas jaki czynię u siebie, zapytałem dla większego upewnienia:

— Czy to waszmość panie Gawle?

— Jaki tam Gawel? ja żadnego Gawła nie znam, odpowiedział głos, spałem smacznie i kwita, a waść mnie zbudziłeś swoim szamotaniem się.

— A któż waszmość jesteś? ja waszmości nie znam.

— Albo to prawda... znamy my się oddawna i nieraz przebywaliśmy z sobą razem i kochaliśmy się bardzo. Ale poczekaj waść, niechno wyleżę, to odnowimy znajomość.

I za piecem począł się ruch jakiś, jak gdyby kto starał się wyjść stamtąd, a ciasno mu było. I tak ruszało się tam coś, próbowało, usuwało i przesuwało, aż nareszcie wychyla się z za pieca dziwna jakaś figura.

X.

Co to była za figura, która wylazła
z za pieca.

Był to jakiś *quidam* niski pękaty, o grubym kadłubie, osadzonym na cienkich, jak piszczałki nogach. Ponad tym korpusem sterczała głowa duża, pyzata, z mocno czerwonymi i jakby obrzękniętymi policzkami. Ale czerwoność tej twarzy wyglądała jakby chorowita, a policzki, powiedziałbyś, że są nalane, jakgdyby kto wziął wody w usta i tak ją tam trzymał w uwięzieniu, nie chcąc wypuścić kropli. Oczki małe, zaspane, na wpół przymrużone, niepewnym z pod sczerwieniałych powiek patrzyły wzrokiem. Czupryna nieprzystrzyżona, ani z polska, ani ze szwedzka, ani nawet z tatarska; składały ją włosy w nieładzie, na łbie rozrzucone, z pierzami i prochem pośrodku, jakgdyby człowiek ów dopiero co z łoża wylazł i z pierzów nie otrząsnął głowy. Te same

pierza i prochy widać było na ubraniu jego, które nie stare wprawdzie, ale dziwnie powalane i poplamione, oznaczało wielce niechlujnego człowieka, a składały to ubranie: żółty żupan poobrywany i rozpięty na piersiach, bo haftek w nim brakowało i sukienny wiśniowy kontusz, ale tak poobdzierany, że z przodu i z tyłu frendzle z niego wisiały. Dalej pas związany krzywo, z końcem jednym zwieszonym na udo, drugim zaś w prawe kolano bijącym. Karabeli przy tym pasie nie było żadnej. Buty czarne, dziwnie zabrudzone błotem i wapnem zabielone, z żółtymi cholewami na których tu i owdzie brunatne rozgościły się plamy. W rękę człowiek ów trzymał wytartą zieloną aksamitną czapkę, mułtańskim obszytą barankiem, ale na baranku znać było łysiny, a aksamit sam taki był wymuszony i pognieciony, że to nie na pokrycie głowy, ale na wiecheć jakiś wyglądało. Miast wąsów miał on pod nosem szczecinowate kosmyki, ani rozdzielone, ani zakręcone porządnie, tylko rosnące tak jedno tu, drugie ówdzie, jak konopie w sadzie. Takim był ów człowiek, który wylazłszy z za pieca stanął na środku izby, roztworzył gębę szeroko, jakby jamę jaką, ziewnął mocno i przeciągnął ręce ku górze, tak, iż zdawało się, że reszta haftek w żupanie mu popęka, a kontusz spadnie z ramion.

Nie wiem jednak, dlaczego mnie nie przestraszyło to zjawisko, jakby to po niespodzianem ukazaniu się jego i dziwnej fizjonomji spodziewać



wychyla się z za pieca dziwna figura. (str. 71).

się było można. Figura tego człowieka wydawała mi się jakby znajoma. Wprawdzie drzwi żadnych za piecem nie było, ale myślałem sobie, że przecież jakimś sposobem musiał się tam dostać, kiedy stamtąd wyłaził. A może to był jaki znajomy rodzica, który przyszedł do nas wyspać się na przypiecku, a teraz rozbudzony hałasem, jaki robiłem, wyszedł ze swojego schronie-

nia. Dość że nie przestraszony wcale zjawieniem się owego personata zapytałem:

— A co tu waszmość robisz?

— Ot głupie pytanie. A co robisz? I po co ta robota. Nic nie robię i kwita. Zaczem

zaś tu przyszedłem mówił dalej przeciągając się, o tem zaraz pogadamy z sobą, jeno pozwolisz waść, że trochę odpocznę, bom kaducznie się zmęczył, gramoląc się z za tego pieca, gdzie choć ciepło, to i szczupło i niewygodnie.

To mówiąc, przeciągnął się jeszcze raz, a potem wlokącym się krokiem, jakby mu ciężko było nogi od podłogi odrywać, podszedł w kąt izby po stołeczek i nie podnosząc go z ziemi, choć mu siły pewnie nie brakło, bo wcale dobrze wyglądał, wlokąc go po podłodze, przyciągnął do stołu i zasiadł na nim, odsapnąwszy mocno, jakby ciężką nad miarę przyszło mu było robotę wykonać.

A potem położywszy oba łokcie na stół i oparłszy na nich głowę rzekł:

— Mówiłem już waści, żeśmy z sobą dawni znajomi. Czy mnie waść nie poznajesz?

— Dalipan że... jakoś nie wiem. Ot mi się coś widzi... Zdaje mi się, że waszmościa gdzieś widziałem nie raz i nie drugi, ale tak jakoś trudno mi uprzytomnić sobie to w głowie.

— Ano, to krótką waść masz pamięć. Trzeba jej dopomóc. A nie pomnisz waść, sześć lat oto temu z górą już będzie, jak rodzic posłał waścia aż na Stradom do kościoła OO. Bernardynów, dla dowiedzenia się od pana Mateusza Ziemby, organisty tamtejszego, kiedy ma nastą-

pić wielka uroczystość i przeniesienie cudownego obrazu. A kazał się spieszyć, żeby zastać pana Ziembę w domu. A waść, idąc przez Rynek ku ulicy Grodzkiej, napotkałeś Włocha z szejne-katarynką, za którym biegł tłum żaków ulicznych, przysłuchując się jego graniu i przypatrując się dziwom przez sztuczne figurki wyprawianym. Toż tam wówczas zdybałeś się waść ze mną. I poszliśmy za Włochem, a nawet dwie godziny całe scho-dziliśmy za nim od domu do domu, od podwórka do podwórka. Hejże, jakże to wybawiliśmy się dobrze podówczas!

— Oj, co prawda, to prawda; przypominam to sobie, nawet mi rodzic za powrotem lepiej jeszcze to wraził w pamięć, dostałem bowiem bassarunek, że spóźniwszy się pana Ziembę nie zastałem w domu, i żadnej od niego nie przyniosłem wiadomości.

— A pomnisz waść, lat ze trzy temu, kiedy rodzic wyszedł na miasto, ot tak jakby dziś prawie, zostawił waści do strugania nowe deszczulki, dla zastąpienia starych, które się były w miechu organowym popsowały. Na dworze słońce świeciło i pogoda była jak w raj; a w tem usłyszałeś waść rumor jakiś na ulicy, poszedłeś i zobaczyłeś tłum ludu, biegnący za wózkiem na którym wieziono zbrodniarza, co go miano pod pręgierzem wystawić i ociąć tam różgami. Więc miast

strugania deszczulek, wybiegłeś waść czempredzej z domu i podążyłeś za innymi, żeby się przypatrzeć temu widowisku. Tam zaraz mnie pierwszego waść spotkałeś i szliśmy razem z sobą, a nawet ja waści zrobiłem miejsce dogodniejsze do patrzenia. Czy i tego nie pamiętasz?

— A juści pomnę, zwłaszcza teraz, kiedy mi to waszmość przypomniałeś; ale jednocześnie pamiętam, że i wówczas także boćkowski był w robocie, a nawet nazajutrz musiałem w zamknięciu o chlebie i wodzie cały dzień przepędzić, tak się rodzic rozsierdził na mnie, że robota była niegotowa.

— A kiedy to wydobywałeś się waść na ślizgawkę do fosy okopowej, toć my tam wtenczas i nieraz się spotykali, a czasem godziny całe przebaraszkwaliśmy z sobą.

— Ano, nie ma co mówić, że tak jest. Już teraz waszmościa przypominam sobie doskonale, tylko widzi mi się, waszmość przywodziś jeno same takie chwile, po których ciężka była przeprawa z rodzicem i oberwało się nieraz porządnie.

— Cóż waść chcesz? Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą. Zawsze jednak dowiodłem waści, żeśmy dawni znajomi i, że nie jedną waści oddałem usługę.

— Oj usługa, jak usługa....

— A i teraz przybywam, bo widzę jakiego oni ćwieka owem pensum zabili waści w głowie. Toć że to do soboty tego wszystkiego wyuczyć się nie podobna. A i po co się uczyć, czy to na Alwarze tylko świat stoi? Wiele to takich, co i liter nie znają, a mają i dostatek, i pieniądze, i poszanowanie. A już dzisiaj, to waść się przekonałeś dowodnie, jak to gracko umieją w tej waszej szkole wynagradzać.

— Oj! co prawda, to prawda.

— I ucz się tu, ślęcz, pracuj, żeby cię potem ocięli i zagrozili wydaleniem. A choćby nawet koniecznie na kantora, to tak śpiewać już się trochę waść przyuczyłeś, a i z łaciny chociaż nie expedite, toć się przecież coś umie. Słówkami świata nie zawojuje. A zresztą, czyż to kantorem być koniecznie?

— Dla młodego świat szeroki, do czego się ino weźmie, to mu samo podlezie w rękę. Toć że słyszałem, jak waść sam prawileś o Franku i Fabjanie; czy to im krzywda albo co? A do szkoły nie chodzą, nad Alwarem nie ślęczą i za uciążliwą służbę cenzorską nie otrzymują bizunów. Bo i rzuć waść raz do licha te szkolne specjały, nad którymi tylko czas i zdrowie się marnuje, a za swoje dobre jeszcze się trzeba wstydu i bólu do syta najeść.

— Toć, że słusznie to, słusznie sam to przyznaję. Ale jak tu zrobić z rodzicem, kiedy się uparł koniecznie?

— Ano klin klinem. On się uparł i waść się uprzyj, będzie upór na upór.

— A boćkowski?

— Ta i cóż boćkowski? Toć przecie wazeci głowy z karku nie zdejmie. Raz otnie! może i drugi, ale jak się przekona, że nic nie wskóra, to i przestanie. A lepiej tak, aniżeli codzień cierpieć w szkole, to od studentów, to od patrów, a i nie za swoje jeszcze.

— Ale jakże tu począć?

— Prosta rzecz. Jak rodzic przyjdzie, powiedzić mu, że jest ochota do rzemiosła. Toć rzemiosło ludzi tuczy. Będzie się sierdził, groził, a może i oćwicz, ale trwać przy swoim, to wkońcu i musi przystać.

— Alboż to w rzemiosle nie ma pracy?

— Jest, bo jest. Ale jak się rzemiosło nie podoba, to łącno i to zmienić. Tylko pierwsze koty za płoty, a potem skok już nie straszny. Sprubój waść, dobra rada zawsze się nada.

— Ale kiedy się boję.

— Ot co! Rodzica się waść boisz, a w szkole cholewkami brać, to bagatela. A choćbyś waść ie chciał, to i tak wygryzą stamtąd, bo już na

tę wodę młyn, lepiej porzucić samemu, niż być wypędzonym z wielkim wstydem.

— Ano, to spróbuję.

— A spróbuj waść. Zobaczysz, że ci dobrze pójdzie, i podziękujesz mi za radę. No, a teraz czas i na mnie — dodał poziewając i przeciągając się — bo kaducznie się zgadałem, a jam już taki, że mnie każda robota męczy. A waść, miast ślezczyć nad książką, lepiej sobie i wypocznij, jutro zaś sprawisz się z rodzicem i wszystko pójdzie jak po mydle.

To mówiąc powstał i miał się ku wyjściu, ale nie w stronę drzwi, jeno pieca.

— A waszmość gdzie? zapytałem widząc, że już na przypiecek się gramoli; toż nie tędy droga.

— Już się waść o mnie nie frasuj — odpowiedział włączając za piec — ja się tu prześpię, bo to mój obyczaj, a waść zrób jak powiedziałem, to będziesz mi wdzięczny za to.

To mówiąc wlaź za piec, jak gdyby nigdy nic i wkrótce też usłyszałem, jak tam chrapie na całe gardło.

A ja zamknąłem książkę, zagasiłem świecę, i, nie rozbierając się, ległem jak długi na tapczanie, a wkrótce też i zasnąłem.

*

*

*

Ale widzę że i waszmości oczy się jakoś kleją, a nawet nie żartem dzień już zagląda do okien, bo to po prawdzie sporo czasu namarnotrawiłem moją historją, a jeszcze nie mało pozostaje do opowiadania.

— Jać nie taki żądny spoczynku — rzekł doktor — bo mnie najłacniej noce przy robocie spędzać. Ale kiedy waść do snu, to i owszem. Tam w drugiej komnacie jest ława, a znajdzie się i siennik i kilimek do przykrycia. Więc zapal waść świeczkę i idź sobie z Bogiem, a mnie zostaw samego i nie trwóż się o nic, znajdzie się rada, bo już poczynam poznawać, jaki to kaduk siedzi waści za karkiem. A jutro dokończysz waść swoje opowiadanie i zrobię co będę mógł.

— Więc dobranoc!

To mówiąc zapalił u lampki świeczkę i oddał ją Bartłomiejowi, który też nie wiele myśląc, poszedł położyć się do spoczynku.

XI.

Jakto pan Gawęł zjawia się w samą porę, dla zaradzenia wielce frasobliwemu stanowi rzeczy.

Nazajutrz Bartłomiej, wypocząwszy i odżywiwszy się należycie, tak dalej opowieść swoją ciągnął:
„Już to z rodzicem nie poszło mi na sucho.

Rwetes wszczął się nielada, kiedy zrana, wstawszy i odmówiwszy jak zwykle pacierze po polsku i po łacinie, rozpocząłem rzecz wedle porady, jaką dał mi wczoraj ów szlachcic. A zacząłem jękając się, bo mrowie od głowy aż do pięt mnie przechodziło, tak mi się jakoś strasznie wydawało,



Więc dobranoc (str. 80)

to wszystko rodzicowi. Jednak najciężej zacząć, pójdzie się i dalej; po pierwszych słowach zrobiło mi się rażniej na sercu i począłem rozpowiadać o wszystkich despektach, jakich doznałem w szkole, i że nie siedzieć mi tam dłużej, bo chyba zakatują na śmierć, tak się rozsierdził na mnie niewinnego. A nawet zaszczona twarz rodzica nie ustraszała mnie, bo umyśliłem już w sobie, że lepiej wszystko przejść, aniżeli się dostać znowu pod placentę i dyscyplinę i być wypędzonym ze wstydem za lada figiel, któryby się komu innemu podobało uczyńić.

I przy tem słówka znudziły mnie na śmierć i szczerze myślałem sobie, że lepiej kamienie gryźć, aniżeli ślęczeć dłużej nad tą książką.

Ale rodzic nie dał mi dokończyć. I jak się to zawsze zdarzało w dysputach, które się wszczyły pomiędzy mną a nim, porwał się do boćkowskiego i począł z wielkim ferworem argumentować po moim grzbiecie. Ale nic to nie pomogło. Skakałem wprawdzie z bólu i wrzeszczałem jak oparzony, ale uparcie obstawałem przy swoim. I kiedy po każdym przestanku rodzic pytał mnie:

— A co? czy pójdziesz teraz do szkoły, błażnie?

Odpowiadałem płacząc:

— Lepiej mnie jegomość bij, zabij, a do szkoły nie pójde, bo tam już mi się za gardło przelało wszystkiego.

I doprawdy nie wiem, jakby się była skończyła ta sprawa, pomiędzy rodzicem a mną, kiedy nagle drzwi się rozwarły i wszedł pan Gawel Przygoda, woźny urzędu starościńskiego, ów sąsiad, o którym już waszmości wspominałem. Widocznie zwabić go musiał hałas wielki, jaki działo się u nas, bo i rodzic nie żałował głosu i ja wrzeszczałem kaducznie, pan ojciec miał bowiem silną rękę, a boćkowski z twardego był spleciony rzemienia.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,
a tu co znowu się dzieje? — rzekł pan Gawęł,



... a tu co znowu się dzieje?

zatrzymując się we drzwiach i spoglądając na nas
obu zdumionym wzrokiem.

— Na wieki wieków amen — odpowiedział rodzic, zatrzymując w powietrzu rękę, którą już na nowo był podniósł. — To waszmość, panie Gawle, wejdz no trochę bliżej i spocznij. — Oto piwo grzane, którego nie miałem nawet czasu zakosztować, tak mię ten hultaj zirytował od rana; może dobra wola posilić się, to proszę bez ceregielów, po sąsiedzku.

Pan Gawel wszedł i, zamknąwszy drzwi za sobą, zasiadł na ławie przed stołem, ułożywszy karabełę pomiędzy nogi.

Z pod czarnego żupana wyłaził mu plik papierów, a ogromny czerwony nos spuszczał się na wąsy, jakby chciał wyniuchiwać resztki tabaki, jakie się na nich jeszcze pozostały.

-- Widzę, waszmość, wymierzasz tu *poenam disciplinariam*¹⁾. Nie szkodzi, mościdgeju! nie szkodzi, bo to zdrowo i z korzyścią dla młodych, chociaż nie trzeba przesadzać. *Medium*²⁾, mościdgeju, we wszystkim tego *medium* trzymać się należy. Ano w czemże ten smyk zawinił, że mu aż boćkowskim rozumem do głowy napędzać trzeba?

— Ot co, — odpowiedział rodzic mocno odsapnąwszy, bo zadyszał się był także nie lada nad ową robotą — nie uwierzysz, panie Gawle, co przyszło do głowy temu basałykowi. Już mu szkoła

¹⁾ Karę porządkową. ²⁾ Środek.

nie smakuje, ani słówka, ani nauka ojców do-
brodziejów. Rzemiosło mu świta po głowie. Chcia-
łem go wypromować na człeka, wyprosiłem dla
niego miejsce w szkole i opiekę, i gdyby statek
a pilność, mógłbył zostać kantorem i mieć chle-
ba po uszy. I już nawet poduczył się trochę po
łacinie, umie śpiewać kantyczki z nut i grać na
flecie, ku czemu już ja sam pierwsze mu dałem
początki. Ale w głowie pstro i teraz zachcia-
ło się jegomości porzucić szkołę i iść do rze-
miosła. Dam ja ci rzemiosło, hultaju, obaczysz
jeno, to dopiero początek, ale niech no się na-
prawdę do ciebie zabiorę, to wióry będą lecieć.

— I cóż tak złego w rzemiośle? — zapytał
pan Gaweł, który tymczasem zajrzał był do garn-
ka i obcierał pianę, co mu na wąsach obsiadła.
Wszakże i w rzemiośle ludzie nie przepadają.

— Nie przeczę — rzekł mój rodzic — nie prze-
czę — i w rzemiośle człek poczciwy a pracowity
znaleźć może chleba do syta i zrobić sobie dro-
gę pomiędzy ludźmi. Świadkiem pan Maciej
Wawrzyk, u którego był wczoraj, który ma w ko-
morze pod kluczem parę skrzyń bitych talarów,
a żona jego nosi jupki grodyturowe, kołpaczki
aksamitne z opuszką sobolą i złote zausznicę. —
Ale kiedy ja tak sobie z góry umyśliłem, że bę-
dzie z niego kantor, to i musi być. I choćbym

miał mu skórę zedrzeć z pleców, to niechaj nowa narasta, a szkoły opuścić mu nie pozwolę.

— Ale kiedy ja już tam pójść nie mogę — zawołałem, zanosząc się od płaczu — bo i tak chcę mnie stamtąd wypędzić.

Rodzic na nowo zamierzył się na mnie.

— Czekaj no, mościdgeju — rzekł pan Gawel, wstrzymując go — niech no ja wiem, o co chodzi.

I musiałem mu opowiedzieć na nowo całą ową historję.

— Widzisz, mościdgeju — rzekł pan Gawel do rodzica, zażywszy tabaki i ważąc słowo po słowie — słusznie albo niesłusznie, ale tam już jemu nie dane kończyć nauki. Kiedy raz mają chrapkę na niego, to mościdgeju, będzie tego więcej, a i wyrzucą go wkońcu. O ja znam dobrze te rzeczy, bom w tem praktyk. Nie mało się chleba szkolnego nagryzło. — W każdej klasie, mościdgeju, nie chwaląc się, siedziało się najmniej trzy lata, toć starczyło przecie czasu, aby nauki przetrwać w sobie. Ale nie każdemu się uda skończyć syntaktykę i być woźnym urzędu starościńskiego, boby, mościdgeju, i urzędów starościńskich zabrakło. — Trzebaż i dla innych stanów zostawiać trochę sera na półce. A kiedy syn twój, mościdgeju, chce koniecznie do rzemiosła, to nie widzę powodu, że-

by już się tak gwałtownie gniewać za to na niego. Znudzila mu się nauka i nie chce już więcej do niej, niechże więc, moścudzieju, spróbuje gdzieindziej, może to już takie jego powołanie.

Jakoś słowa te pana Gawła musiały utkwic trochę w głowie rodzica, bo milczał kęs czasu i skrobał się po nosie, jak to było we zwyczaj u niego, kiedy nad czemś ważnem rozmyślał.

— Ano choćbym i chciał go teraz oddać do rzemiosła — rzekł nareszcie — to i zapóźno na niego i niewiadomo, czy go przyjąć zechcą. Toć to chłop nie żartem, już mnie prawie dorasta, wás się nie długo sypać zacznie, a jeszcze takie nicpotem. Ano i co zrobić z tobą nicponiu — mówił dalej, odwracając się do mnie — do jakiegoż rzemiosła żyłka cię ciągnie?

— Alboż ja wiem — odpowiedziałem, schylając się rodzicowi do kolan — już pójdę tam, gdzie jegomość dobrodziej rozkażesz, byleby nie do szkoły.

— Gdzie każesz, gdzie każesz — pomruknał gniewliwie rodzic — niby to ja nie wiem, co się święci.

I począł rachować na palcach.

— Płatnerz najmniej lat ośm, a i muszkiet do arsenału brackiego, gdzieżby takiemu błaznowi dobry muszkiet sporządzić. — Sukiennik lat siedm tylko, ale trzeba do tego wielkiej spraw-

ności, a to niemrawe i leniwe. No, garbarz, zapewne, piękny zarobek i cech wielce poważny, ale nie przyjmą, bo już stary, a chociażby przyjęli, to nie dotrzyma, jak Pana Boga Kocham, nie dotrzyma.

I w wielkim frasunku załamywał ręce.

— Uspokój się waszmość, moścudzieju, panie Kacprze — prawil pan Gawel — znajdzie się jeszcze rada, już ja powiadam że się znajdzie. Tylko cierpliwości do jutra, a obmyślę co.

XII.

Praktyka u skrybenta.

Rzeczywiście wrócił nazajutrz, donosząc, że znalazł już dla mnie miejsce.

— Znasz, waszmość paniedzieju — rzekł do rodzica — pana Mateusza Kuternogę, skrybenta na małym rynku, poza kościołem Panny Marji?

— A znam: wielce uczony to człek. Po łacinie umie *expedite*, a jakie figlasy wyrabia z pismem, aż oczy bolą patrzeć, kiedy nakreśli co na papierze, tyle tam esów i floresów i ornamentów różnych. A i palestranckiego zakosztował chleba. — Nie ma co mówić, człek całą gębą do rady i do parady.

— Owóż, cobys mościdgeju powiedział, gdyby chłystka oddać do niego na praktykę?

— A cóż, karjera, jak Pana Boga kocham, karjera nielada! I gdyby to chciało.... boć i ja się sam nad nim namęczyłem i w szkołach parę czasów siedział. A przecie nie święci garnki



Pan Mateusz Kuternoga

lepią. Ale gdzieżby tam panu Mateuszowi chcieć przyjąć do siebie takiego nie-
dojdę.

— Już ja, mościdgeju, mówiłem z nim o tem i nie byłby od tego. Pan Mateusz stary już, często nie domaga, ręka mu się trzęsie i nie może uradzić robocie, której ma po uszy. Koniecz-

nie więc potrzebuje praktykanta, któryby mógł mu pomóc i wyręczyć go z grubszego przynajmniej. Zaraz dziś pójdziemy do niego z chłopcem i sprawa się ubije.

Pan Mateusz Kuternoga, skrybent miejski, był to siwy, mały, przygarbiony staruszek, suchy jak szczapa, a żółty jak wosk. I kontusz i żu-

pan nosił czarny, a pas również czarny jedwabny, z prążkami srebrnymi, dawnym mieszczzańskim obyczajem przewiązany na żupanie. Kiedy z mieszkania swojego (a było ono przy ulicy Sławkowskiej) szedł do szopy na małym rynku, opierając się na grubej trzciniowej lasce o kokosowej ze srebrną obrączką gałce, wszyscy mieszczanie i kupcy, którzy stali na progach domostw i sklepów, albo spotykali go idącego, kłaniali mu się z respektem, był to bowiem człek arcyważny i nie małe miał zachowanie u mieszczaństwa krakowskiego. Przychodzono do niego nietylko w sprawach piśmiennych, ale i po radę, w tym lub owym interesie, za młodu uwijał się on przy palestrze, był niemały praktyk w prawie i, gdyby tylko była wola po temu, nie jednego palestranta mógłby on przez kij przesadzić. Ale niechętnie się wdawał w takie interesa. „Bo to — prawil — nie moja rzecz. Od trybunałów Piotrków i Lublin, a Kraków od chwały Bożej i pocziwej służby. Kiedym tu osiadł na stare lata, tutaj też i kości położyę, a z łaski moich dobrodziejów, którzy o starym Mateuszu pamiętają i roboty mu nie skąpią, na chlebie do śmierci nie zbraknie.“

Wychodził raniuteńko z mieszkania, a pry-marji w kościele Panny Marji nie opuściło się nigdy. A przy wyjściu ze świątyni, zawsze znalazło się

u niego w kieszeni kilka szelągów na rozdanie dziadom i babom kościelnym. Miłowali go też wielce i skoro tylko go ujrzeni, zdaleka jak szedł, utykając trochę na prawą nogą i opierając się na lasce, wołali zaraz weselem wielkiem:

— Będą szelągki, będą, nasz dobrodziej idzie!

O szóstej punkt w lecie, o ósmej w zimie, pan Mateusz otwierał swoją szopę i siedział w niej do południa. W południe zamykał ją na godzinę i szedł na obiad do traktjerni, „pod Barankiem“, trzymanej na Brackiej ulicy przez pana Marcina Juchtę. Stamtąd powracał do swojej szopy i pozostawał tam, aż zaczynało się ściemniać. Niedzielę i dni świąteczne przesiadywał zwykle w gościnie u tego lub owego, miał bowiem liczne znajomości i był wielce ceniony i zapraszany.

Nie dzisiejsze pamiętał on czasy, a dziwnie piękne umiał opowiadać powieści o dawnych ludziach i dziejach.

Szopa jego, przytykająca do narożnej kamienicy, zbita była z sosnowych desek, pomalowanych kiedyś zielono, ale ta barwa zielona dawno już była znikła, a pan Mateusz nie kazał odnawiać, bo mawiał, — „że kiedy się szopa wraz z człkiem starzeje, a człeka podreperować już nie można, niechże i szopa pozostanie taką jak jest“.

Była ona dość przestronną, o dwóch wiel-

kich oknach, zamykanych na noc okiennicami, i drzwiach prowadzących na ulicę. W kącie stał mały gliniany piecyk z rurą żelazną, na dach wychodzącą. I chociaż przez cały prawie dzień paliło się w tym piecyku w zimie, nieraz jednak przy pisaniu grabiały palce, przez źle bowiem zasklepienie otwory desek wchodził chłód ze dworu. Ale pan Mateusz, chociaż podeszły już w leciech, nie skarżył się na to, prawiając: „Kiepski to skrybent, którego sama już robota zażyć nie potrafi. Jak się człek do pisania zabierze, a pocznie ogonki i kulasy stawiać i palić, żeby na umówioną godzinę było gotowe, to choćby mróz trzaskający, zimna nie poczuje, bo go będzie rozgrzewał zapal pisarski.“

Pod oknem wychodzącym na rynek, stał prosty stół dębowy, z jedną wielką szufladą, czarnym pokryty kilimkiem. Przy tym stole pisał zwykle pan Mateusz, siedząc na stołku bez poręczy. A pisząc, dość mu było tylko spojrzeć w okno i mógł widzieć, co się na całym rynku dzieje. Ale tak był pilnym do roboty, że jak się zaciełtrzewił nad pisaniem, to niechajby sam król jegomość jechał przez rynek, otoczony paradą i wojskiem, on nie odwróciłby głowy, dopóki nie dokończył zdania.

Kto zaś miał sprawę do niego, zaglądał w okienko i pukał do szyby czy wejść może,

a pan Mateusz odpowiadał na to pytanie skinięciem głowy i wówczas się wchodziło.

Przy ścianie w głębi stała wielka niezamykana szafa, z drzewa czarno pomalowanego, a raczej nie była to szafa, jeno półki pokratkowane z przedziałkami, tak ułożone, że każda z nich miała osobną swoją literę. A prócz liter były tam jeszcze i numera. Na półkach tych leżały przeróżne papiery, akta, kopje, zapiski, bo pan Mateusz notował sobie dla porządku każdą robotę, która mu popadła w rękę, chociażby to był prosty list, albo rachunek rzemieślnika.

Pomiędzy drzwiami, a szafką była ławka, siadali na niej ci, których do pana Mateusza sprawa jaka sprowadzała. I nie mało ich przez cały Boży dzień przesunęło się w szopie, pan Mateusz znany był bowiem ogólnie, i kiedy trzeba było jakie porządne i ważne pismo ułożyć, każdy szedł do niego jak w dym.

Używał pan Mateusz do pisania okularów w osadzie mosiężnej, mocno na nos wsadzanych. A wygięcie które się na nos zasadzało, dla lepszego trzymania się tam, okręcone były nitką. Że zaś sprężyna ścisnęła mocno, owe tarcie nitką wyżłobiło na nosie pana Mateusza z prawej i lewej strony dwie wielkie szramy, które były widome, kiedy zdejmował i składał okulary. A cho-

ciąż zwykle mowa jego nie odróżniała się od innych, to kiedy założył swoje okulary, mówił przez nos. I nie chciał słyszeć o kupieniu innych, utrzymując, że to ściskanie dopomaga mu przy piśmie do zebrania lepszej uwagi. „Inni dla trzeźwienia się w pracy zażywają tabakę — prawił — dla mnie moje okulary są tabaką.“ — Kładł je zaś tak, że szkła znajdowały się nie naprzeciwko oczów, ale pod oczami, więc kiedy pisał, były mu w samą porę, ale kiedy podniósł głowę i patrzył na kogo, to wzrok jego sięgał ponad okulary i niepotrzebne też mu były wówczas, bo lepiej widział daleko niżeli blisko. Dla oszczędzenia zaś oczów, przy pisaniu kładł on jeszcze oprócz okularów zielony kitajkowy daszek.

Takim był pan Mateusz, skrybent miejski, przy którym przez protekcję pana Gawła objąłem praktykę zaraz dnia następnego.

Umieszczono dla mnie w szopie osobny stoliczek ze stołkiem. Pomiedzy zaś moim rodzicem a panem Mateuszem stanęła ugoda, mocą której, obowiązany byłem przez rok na utrzymaniu i wikcie ojcowskim praktykować darmo, po roku zaś miał mi pan Mateusz oznaczyć zapłatę, wedle mojej zdolności i zasługi. Co zaś przy odbieranej robocie, który z łaskawców porzucić raczy na pióra i atrament, to już całkiem miało mój własny tylko stanowić dochód.

Zpoczątku szło mi dosyć trudno, chociaż nauczony doświadczeniem, stale już postanowiłem przysiedzieć łańdów. Więc przedewszystkiem uczył mnie pan Mateusz temperować pióra wedle swojej osobnej metody; nawet miało to być jedno z głównych zajęć, gdyż przy temperowaniu piór, a zwłaszcza kiedy trzeba było nosek równo przycinać, panu Mateuszowi oczy nadwyreżone starością pomimo okularów nie dopisywały już.

Pan Mateusz począł mnie także pisania uczyć, uważając to co umiem za zupełnie niedokładne, niedołączne, ba szkodliwe nawet.

Więc dawał łatwiejsze roboty, kiedy to nie chodziło o żadne ornamenta, ale prosty np. rachunek rzemieślniczy, których zawsze najmniej parę na dzień sie zdarzało.

A przy tem kazał stawiać kreski, kulaski i kółka, na polinowanym papierze, i to z należytem przyłożeniem ręki i w dobrze obmyślonej pozycji ciała.

— Pilnuj waszeć sztrychów — mawiał — sztrych tem jest dla skrybenta, czem dla husarza pchnięcie włócznią, albo krzywe cięcie dla pancernego. Sztrych to grunt naszej sztuki, po nim waszeć zawsze poznasz, azali skrybent ma rękę wyrobioną. Bo gdzie idzie o grubiznę, tę lada żak potrafi, to nie sztuka. Ale sztrychy to same delikatesy, to smakołyki do kaligrafji.

I męczył mnie też nad podziw temi sztrychami. Więc z początku, trzeba, nie odejmując pióra od papieru, zrobić nagięcie, koło, owal, a potem do innych się przeszło ornamentów. Tedy począłem robić dzioby, skrzydła i szpony, aż wreszcie kiedy osadziłem na papierze jednym zamachem pióra pięknego orła, co wzlatał z rozpostartemi skrzydłami i z podniesionym w górę łbem, na którym sterczała korona, to aż poskoczyłem sam z radości, tak mi się to wspaniałem i ozdobnem wydało. Zatem przeszliśmy do innych herbów i godeł, boć to można powiedzieć, że w tem pisaniu to się cały świat zamyka; bo jakich to przeróżnych dziwów trzeba było nasadzić, o jakich się człowiekowi nieraz, choćby i retorykę i poetykę przeszedł, ani śniło. Hejże to tam było, gryfy, a bazyliuszki, a niedźwiedzie z pannami i znaki niebieskie przeróżne, i zodjakowe figury, zgoła co tylko wymyślić można.

Ale to wszystko było jeszcze sprawą *minorum gentium*¹⁾, dopieroż jak pan Mateusz wyjął podłużne pudełko i otworzył, pokazało się, że tam same były farby, a złotych, srebrnych i purpurowych najwięcej, aż blask był od nich. To już tedy było *summum*²⁾ *arcanum* skrybentowskiej

¹⁾ Mniejszej wagi.

²⁾ Największa tajemnica.

sztuki. Owych farb używał tylko, gdy szło o patenta cechowe, albo jakie supliki do jaśnie wielmożnych, zrzadka zaś kiedy komu na wielki uroczystości chciano zrobić i pięknem przysłużyć się pisaniem. A użycie tych farb, to już mi bardzo twardo wchodziło w głowę, bo jak pan Mateusz mówił, trzeba już było mieć do tego gust naturalny; żadne wzory nie pomogą, jeżeli kto malarzkiego sensu w mózgu nie ma. A ten sens to był sęk właśnie, i toż ja się nad nim namęczyłem. Ale też na ś-go Kacpra dla rodzica powinshawanie, z ogromnym tytułem, u którego każda litera ozdobną malowana była farbą, zaś na wierzchu, jako godło całej roboty, były organy na chórze, aż kapiące od złota, to rodzic nie posiadał się z radości, i przycisnął mnie do serca wołając, że jestem jedyna jego pociecha i przysięgając, że wyrosnę kiedyś na splendor pisarski Rzeczypospolitej. I na podziękowanie posłał panu Mateuszowi baryłkę starego dereniaku, która była szacownym darem ojców dobrodziejów. I pan Gaweł cieszył się wielce, że mnie przecież na człowieka wykierować potrafił i była wielka radość w całym domu naszym.

XIII.

Panna Urszula.

Dwa tedy lata z górą praktykowałem u pana Mateusza i zbliżał się już termin, w którym miałem wykwalifikowanym zostać skrybentem.

A i tak już zarabiałem sobie sporo, bo pan Mateusz chorując coraz bardziej, nie mógł z taką pilnością jak dawniej, ręki do roboty przykładąć. Więc najczęściej dysponował tylko, a ja pisałem. I nie chwając się, robota szła expedite i pan Mateusz wielce był kontent z moich postępów, ciesząc się, że we mnie odżyje dawna skrybentowska praktyka. Boć jak wszystko podówczas, tak i skrybentostwo upadało w Krakowie, brali się do tego ciury, a z nich żaden porządnego sztrychu zatoczyć nie umiał, a cóż dopiero odpracować *accurate* jaki poważny tytuł, *cum lineis, ornamentis et coloribus*.¹⁾ Robiono wszystko na tandetę, aby zbyć, a sztuka szła w zapomnienie. Piękne gotyckie litery, co to nad jedną nieraz całe pół dnia przesiedzieć trzeba było, szły powoli w zapomnienie, a jakieś tam okrągłości francuskie wchodziły w użycie. Pan Mateusz ubolewał nad tem niepomału i upominał mnie,

¹⁾ Odpracować dokładnie jaki poważny tytuł, ze sztychami, ozdobami i kolorami.

abym nie zaniedbywał dawnych tradycyji, a sztuki niepuszczał w niwecz.

Przy wyjściu z ulicy Sławkowskiej na rynek, w kamienicy narożnej był sklep pana Macieja Dziumby rzeźnika, który słynął z wyrabiania dobrych kiszek z kaszą. A były owe kiszki tak wielkiej renomy, że ojcowie nawet Bernadyni, choć to jak wiadomo smakosze wielcy, bo i bernadyńska kuchnia szeroką ma co i wiecie famę, zaopatrywali się w nie u pana Dziumby.

I chodziło nawet po świecie *dictum* klasztorne, które często słyszałem powtarzane od mojego rodzica:

Pana Dziumby kiszka,
Greczanką nadziana,
To nie dla braciszka,
Ale dla gwardjana.

Idąc z mieszkania naszego do budki pana Mateusza, wypadała mi zawsze tamtędy droga, więc po kilka razy musiałem przechodzić obok sklepu pana Dziumby. A weszło u mnie we zwyczaj robić tam odpoczynek i zatrzymywać się przez pewien czas na ulicy, wpatrując się w okno. I ktoby mnie tak widział, myślałby zapewne, że mnie wielka oskoma bierze, na widok tych wszystkich specjałów, znajdujących się tam w sklepie i że delektuję się, lustrując wzrokiem wiszące na hakach szynki, kiełbasy i siekaniny różne.

Ale nie zwabiały mnie tam owe delicje, chociaż prawdę powiedziawszy, zapach wędzonego mięsa, który się ze sklepu wydobywał, naprowadzał mi ślinkę do ust, ani nie stawałem w admiracji przed olbrzymią skórzaną kiszką, napchaną pakułami, arcytworem siodlarskiej sztuki, która jako szyld wisiała ponad drzwiami sklepowemi, ani też zastanawiała mnie krata nad oknem, w której cyfra M. D. kunsztownie w żelaznych floresach wyrytą była. Inny zupełnie powód zatrzymywał mnie przed drzwiami sklepowemi i kazał mi się tak uważnie w nie wpatrywać.

Po za dębowym stołem sklepowym, na którym codziennie rozkładane bywały rozmaitego rodzaju siekaniny, wędzonki i mięsa, pod wężem sztucznie wyrobionym z drzewa i zielono z nasadzaniem złotem pomalowanym, u którego w przeróżnych wiankach wisiały kielbasy surowe i wędzone, kiszki podgardlane i nadziane kaszą i owe głowizny, z których wyrobu sława rzeźników krakowskich po całym niemal rozchodziła się kraju: siadywała zwykle panna Urszula, najstarsza córka pana Macieja, zarządzając sprzedażą sklepową. Hej, mój miły Boże! cóż bo to była za dziewczyna, to już takiej pono póki żyć będę nie ujrzeć mi drugiej. Krew jeno, a mleko, z twarzy zdrowie aż tryskało, a oczki takie świecące, że chociaż w sklepie, poza oku-

rzonemi i zadymionemi szybami ciemnawo zawsze bywało, to stanąwszy nawet pod Sukiennicami i wpatrywszy się w sklep, te oczki błyszczą jakoby dwie gwiazdy jakie spadły z nieba i zawieszzone pomiędzy kielbasami. I nieraz zdarzało się, że zapatrzony na ten tak miły dla mnie widok, spóźniłem się na robotę, a pan Mateusz, który okropnie lubił punktualność w dopełnianiu obowiązków, czynił mi wymówki, jako baraszkuje na mieście, nie pilnując tego, z czego mam chleb. Ale ja znosiłem to wszystko cierpliwie. Bo i pan Mateusz śmiałby się zapewne, i wiedziałem ja dobrze, że nie dla mnie to był kąsek, i że o rękę panny Urszuli ubiegać się będzie bogaty jaki majster rzeźniczy, albo osiadły mieszczanin. Ale pomimo tego, za każdym razem com przechodził koło sklepu, nie zaniedbałem wpatrywać się.

Pewnego razu, a było to jak zapamiętam w poniedziałek 12-go października 17... r. Pan Mateusz pozostał był w domu z powodu ogromnych boleści w obu kolanach, których doświadczał od pewnego czasu, a które mu nie pozwoliły w ten dzień wyruszyć się z łóżka. Siedziałem więc sam w budce, pracując pilnie, miałem bowiem do wykończenia suplikę do magistratu miejskiego, pana Józefa Przepiórki, blacharza upominającego się o zwrot kosztów, poniesionych

za zawieszenie dwóch nowych latarni przed ratuszem. Nagle zapukano do szyby. Spojrzałem w okno i zobaczyłem stojącego przed budką Ja-



kóba Wrześniaka, wykwalifikowanego towarzysza rzeźniczego cechu, którego znałem dobrze, po kilka razy bowiem przychodził już do nas z robotą i ja to właśnie od-
rabiałem mu patent jego na towarzysza. I ucieszyły mnie wielce te odwiedzi-
ny, wiedziałem bowiem, że Wrześniak

Nagle zapukano do szyby
pracuje u pana Dziumby, a wszystko cokolwiek

mi pannę Urszulę przypominało, było wielką uciechą dla mojego serca.

Otworzyłem więc drzwi.

Jakób wszedł i obejrzał się naokoło.

— A cóż to Bartłomiejku — rzekł — widać staremu dzisiaj nie zebrało się na robotę, czy może wczoraj przy niedzielnym dniu zaproszył sobie zanadto czuprynę i rekreacji używa.

— Piękna mi rekreacja — odpowiedziałem — że aż w stawach trzeszczy, takie go bóle złapały w kolanie. Medyk zabronił panu Mateuszowi wyruszać się z łóżka, i pewno przez kilka dni jeszcze nie będzie mógł przychodzić na robotę.

— A to szkoda — odezwał się Jakób, kiwając żałośliwie głową — biedny starowina, a ja właśnie przyszedłem z pilną sprawą do niego; jakże tu zrobić?

— No, przecież jeżeli sprawa taka pilna, to i ja mógłbym jej zaradzić, przecież mi nie pierwszyna obywać się w takich rzeczach bez niego, o cóż to idzie?

— Ej! — począł Jakób, drapiąc się za ucho — bo już to ja chciałem, żeby pan Mateusz sam mi cały ten obstalunek urządził, to trudna sprawa i wiele mi na tem zależy.

— Ale gadajże waść, toć i ja nie strawiłem czasu na darcie pierza za piecem, i cośkolwiek potrafię, a pan Mateusz sam mówi, że drugiego

takiego praktykanta jak ja z uformowaną już ręką to szukać w całym Krakowie.

Chwaliłem się trochę za bardzo, ale szło mi o to, żeby Jakób widujący się często z panną Urszulą, nabrał o mnie dobrego mniemania.

— No — rzekł on, wiem ci ja to dobrze, że pismak z waści nie lada, wszakże mój patent świadczy już o tem. Ale sprawa, z którą przyszedłem, to trudniejsze od wszystkich patentów.

— Cóż takiego?

— Widzisz waść — prawił dalej Jakób widocznie zakłopotany — tóż to wiadomo zapewnie waści, że niedługo nadchodzi święto Urszuli panny.

— A wiem ci, wiem, jak raz wypada ono 21 października, we środę.

A wiedziałem o tem dobrze, miałem bowiem to święto kredą czerwoną w kalendarzu podkreślone.

— Otóż ja..... mówił dalej, zająkając się Jakób — ponieważ to panna Urszula, córką jest naszego majstra, pragnąłbym na tę uroczystość przysłużyć jej się jaką piękną pisaną pamiątką, coby mogła ją zawiesić w ramach u siebie, jako rzecz przechowania godną.

— Prawdziwie, najlepszy waść zrobiłeś wybór. Ot to mi upominek! — zawołałem — cóż, czy waść masz już myśl jaką?

— A byłem właśnie wczoraj u ojca Feliksa

ze zgromadzenia XX. Jezuitów, który z powodu znajomości rodziców od dzieciństwa zaszczyca mnie swojemi łaskami i on mi wypisał powinszowanie pięknym wierszem, idzie tylko o to, żeby je z wielkim talentem przepisać, jak to waść wie, z różnemi arnamentami i malaturą naokoło.

— Pokażno waść to powinszowanie, a obaczę.

I Jakób wyjął z zanadru papier z wypisanemi na nim wierszami, a ja wziąłem go w ręce i począłem go czytać:

*Opis serdecznych afektów, skierowany do
jejmość panny Urszuli, córki sławetnego
Macieja Dziumby, majstra rzeźniczego
cechu — w dzień jej imienin.*

Słońce w dniu świeci ludziom, księżyc świeci nocą,
A czyli we dnie, czy w nocy, zawsze nam migocą
Twoje wdzięki, cna panno, i miła osobo,
Coś jest sklepu twojego rodzica ozdobą.
Jako kraj w bezkrólewiu pożąda elekta,
Tak nam są pożądane, tve panno, afekta.
Tyś rzeźniczego cechu chluba i ornament,
Pod twój się zapisuję, panno, autorament.
By chronić twój konterfekt, co się w sercu chowa,
Dałbym się siekać jako główizna wieprzowa.
I nawetbym rycerstwu nie ustąpił piędzi,
Bo bez łask twych me serce jak szynka się wędzi.

(podpisano)

Jakób Wrześniak,
towarzysz rzeźniczego cechu.

Nie podobały mi się wiersze owe, chociaż nie ma co mówić z wielką napisane były one sztuką poetyczną, ale zbyt wiele jakoś serdecznego afektu znajdowało się w nich.

Obiecałem więc Jakóbowi przyłożyć wszelkich starań, żeby odpowiedzieć godnie zaufaniu położonemu we mnie i żeby wykaligrafować mu pismo, które nietylko w ramach w komnacie pana Macieja, ale mogło być zachowane na pamiątkę u jakiego ziemskiego urzędnika, ba senatorskiego dygnitarza nawet. A obiecałem tem chętniej, iż wiedząc że to będzie podarek dla panny Urszuli, postanowiłem fałdów przysiedzić, nie poskąpić pracy, owszem wymyślać nowego rodzaju ornamenta, figury, nigdzie jeszcze nie bywałe, które mogłyby służyć za dowód mojego serdecznego szacunku i czci dla jej przezacnej osoby.

Boć spodziewałem się przecie, że panna Urszula zapyta się, otrzymując tak piękny upominek, jaki to skrybent nad temi ślicznościami pracował.

Tedy w tydzień, gdy podług mojego zalecenia Jakób powrócił po swój upominek i oddałem mu pismo wykończone już, aż gębę otworzył z podziwu, tak mu się to wspaniałem i świetnem wydawało.

I było iście czemu się dziwić.

Papier cały okolony był zielonym laurem,

a z pomiędzy liści tego lauru, dla lepszego odbijania farb, wyrastał haber i ziarnka kaliny, do malowania których użyłem był najczystszej karminy, chociaż ta farba drogo bardzo podówczas kosztowała, a i teraz nie jest tanią. Laur ów połączony był u spodu różową wstążeczką w zgrabną uwiązaną kokardę. A u wierzchu dwoje bieluchnych jak śnieg gołąbków podtrzymywało przesyte strzałą serce, z którego wychodził nader misternie namalowany płomień. Po nad tem sercem zaś wznosiło się oko Opatrzności złotem promieniami otoczone, z prawej strony wymalowany był róg obfitości, z którego wypadały szynki, kielbasy, kiszki, głowizny, wogóle wszystkie godła cechu pana Macieja, z lewej ogromny wół, którego stojący przy nim towarzysz rzeźniczy walił w łeb toporem, z wierzem pod spodem:

— Kto z nami Urszuli nie miłuje pospołu,
Niechaj więc będzie jemu, jak owemu wołu.

Ale wszystko to było niczem jeszcze, obok samego w tytule imienia panny Urszuli, namalowanego samemi złotemi farbami i karminem. Cudoż to było prawdziwe sztuki pisarskiej i przez całe trzy dni z rzędu nad tem jednym imieniem pracowałem. Same U stanowiły jakoby dwie wieże kościoła, z różnemi ornamentami i zdobne koroną; taką kubek w kubek, jaką widać na wie-

ży świątyni Panny Marji. A inne litery odpowiadały tej wspaniałości, każda z nich bowiem miała wokoło siebie tyle sztrychów, że wyglądały jakby powiązane ogromną siecią samych najpiękniejszych koronek. W ostatnią zaś literę I, były umiejętnie wgłębione moje cyfry, cieniutkimi sztrychami niebieską namalowane farbą. Słowem śmiało powiedzieć można, że było to arcydzieło sztuki pisarskiej.

Jakób uradowany srodze, porwał czemprędzej za pismo, a bardziej jeszcze się ucieszył, gdym za całą robotę kazał mu tylko zapłacić dziesięć tyńfów, chociaż ono cztery razy tyle było warte.

A ja, gdybym był tylko słuchał serdeczności, nie byłbym nic wziął za tę pracę, ale nie uczyliem tego, lękałem się bowiem obudzenia w umyśle Jakóba podejrzeń.

XIV.

Jeszcze panna Urszula.

Od tego czasu przed sklepem pana Dziumbo robiłem dłuższe jeszcze stacje aniżeli dawniej, tak że nieraz jeden albo drugi przechodzeń oglądał się za mną. A i pan Mateusz rozpoczął był na nowo robotę, wylizawszy się z owych kola-

nowych boleści. Więc i on, zauważywszy także, iż później niż zwykle przychodzę i nie szparko mi idzie pisanie, zmył mi głowę kilkakrotnie porządnym sposobem. Nic to jednak nie pomogło.

Dziwiło mnie wszakże niepomale, że moje wszystkie hołdy uliczne żadnego na pannie Urszuli nie robiły wrażenia. Siedziała sobie po dawnemu z robótką w ręku, rzadko kiedy do okna zaglądnęła, a jeżeli spojrzała, tyle snać troszczyła się o mnie, ile owe dwa łby kamienne sterczące przed drzwiami kamienicy pana Badera troszczą się o muchy, co im wedle nosa latają.

I tak jeszcze przeszło parę miesięcy.

Pewnego rana Jakób przyszedł znowu do budki, w której z panem Mateuszem siedziałem nad robotą i wzięwszy mnie na bok rzekł:

— Szczęśliwą masz rękę Bartłomiejku, dali-pan, szczęśliwą rękę. Twoje pisanie wielką dla mnie sprawiło pociechę.

— Albo co?

— Ot, bo przyznam ci się, iż od roku myślę sobie, że czasby i własnego pokosztować chleba. Na założenie sklepu znalazłoby się trochę pieniędzy, bo i rodzic ma sporo złożonego grosza, którego mi pewnie nie poskąpi, ale założyć sklep i siedzieć w nim samemu jak palec, to także licha warte.

— I myślisz wać poszukać sobie żony.

— Już znalazłem, Bartłomiejku, już znalazłem, w tem właśnie rzecz. I jakoś już mi raz przysługę nie małą wyświadczył, przychodzę jeszcze raz poradzić się ciebie i prosić o pomoc.

Mrowie mnie przeszło od stóp do głowy, bo już domyślałem się, jaką to żonę Wrześniak sobie znalazł. Przytrzymałem się ręką o półkę, bo byłbym upadł na ziemię z wielkiego zmartwienia, a Jakób mówił dalej:

— Widzisz Bartłomiejku, panna Urszulajakby dla mnie. Bo to i skromne, i pracowite, i z poczciewego gniazda, a ludzie prawią, że w komorze pana Dziumby po za izbą sklepową stoi pewna skrzynia... no, ale mniejsza z tem, bo mnie nie o skrzynię chodzi.

— Więc waść myślisz w swaty mnie posłać do niej? — zapytałem oburzony okrutnie, żeby taka myśl przyszła mu do głowy.

Ale Jakób począł śmiać się na całe gardło.

— Powiedział co wiedział! — zawołał trzymając się za boki z owego wielkiego śmiechu, alboż to we zwyczaju jest w Krakowie, żeby takich jak waść smyków w swaty posyłać? Jako do cygańskiego wesela nie potrzeba marcepanów, tak i moje swaty obejdą się bez waści Bartłomiejka i znajdą się na to miejsce inne poważniejsze osoby. Ale nie o to chodzi, tu o całkiem inną sprawę idzie.

Zgniewał mnie mocno ten śmiech jego, ale nie należało tego pokazywać po sobie. — Zapytałem więc:

— Cóż waść tedy chcesz odemnie?

— Oto, jak wiesz Bartłomiejku, należę do tychczas do czeladzi przywiankowej, a na założenie sklepu trzebaby mi się wypisać koniecznie. Idzie tylko o zapłacenie wkupnego i napisanie supliki do starszych. Z tem tedy przychodzę do waści. A już mniejsza o zapłatę; targować się z sobą nie będziemy, bylebyś mi, Bartłomiejku, wygotował suplikę z wszelkiem, należnem staraniem. A już to że potrafisz, to wiem, bo sam się przecie przekonałem o tem.

Stałem przed nim, nie wiedząc jak mu odpowiedzieć, bo jakoś wstyd mnie brał dopomagać mu w tej sprawie, kiedy pan Mateusz, słysząc nas rozprawiających z sobą pocichu, podniósł głowę, położył pióro na stole, a zdjawszy z nosa okulary i przecierając je czerwoną, bawełnianą chustką:

— A cóż to tam, aspaństwo, mamrotacie z sobą?

— E, to nic panie Mateuszu — rzekł Wrześniak kłaniając mu się — ja tylko przyszedłem tu do Bartłomiejka, żeby go prosić o napisanie mi supliki do urzędu starszych, bo pragnąlbym wypisać się na rzeźnika cechowego.

— A to i cóż, to się robi — rzekł pan Mateusz, obcierając z wielką starannością pióro o kawał czarnego sukna.

— Ale bo ja chciałem — powiedział Jakób.

— No już tam mniejsza z tem, co aspan chciałeś, co tam aspanu chcieć; zrobi się porządnie i kwita. A jak będzie gotowe aspan przyjdiesz, odbierzesz, zapłacisz i będzie rzecz skończona. Trzeba przyjść we czwartek, a teraz idźże sobie aspan, bo robota jest pilna, a sama się nie robi, a ludzie czekają, aspan zaś odrywasz mi chłopca od roboty, jemu zaś właśnie w to graj.

I wyszedł Jakób za drzwi, a my zostaliśmy sami.

Już tam nie powiem jak mi szła robota dnia owego, bo sam nie wiem co pisałem, a nawet pan Mateusz parę razy ofuknął na mnie, bom porobił kilka błędów i splamiłem piękny nowy arkusz papieru.

Wiedziałem dobrze, że rzecz jakby już skończona, że skoro Jakób na dobre uderzy w konkury, to i dostanie pannę. Bo to chłopak i pracowity, i pieniądze, i rej wodzi pomiędzy towarzyszami, a mistrzostwo miał za pasem. I to ja właśnie miałem mu do tego dopomóc.

Oj przecierpiałem też przez ten dzień, przecierpiałem!

Na przecznicy, co od ulicy Florjańskiej prowadzi na ul. św. Anny, był szyncelek, który znałem dobrze, jeszcze kiedym, w browarze pana Kutnera terminował. Właściciel tego szynku zwał się Tomasz Zgrzyt, wszyscy zaś nazywali go niewiernym Tomaszem, osobliwie dlatego, że prawiono jakoby do piwa dolewał on zawsze wody trochę. Ale była to już taka sztuka niewiernego Tomasza, że czy dolewał, czy nie dolewał, piwo zawsze było u niego lepsze aniżeli gdzieindziej, może też dlatego, że wszędzie tak jak u niego wody dolewano, a niekażdy tak dokumentnie jak on przyprawiać umiał. Miał on ku temu już swoje własne tajemnice, z których się nie zwierzał nikomu. A prawiono, że kładł do piwa i cukier, i korzenie przeróżne, i pieprz turecki. Kiedy zaś go zagadnięto o to, zwykł odpowiadać:

— A aspaństwu co do tego? Co kładę, to kładę, jeno pewno, że wam trucizny nie daję, bo kto pije moje piwo, to mu na duchu zdrowiej i ciała przyrasta. A jaki to klar, a co za smak, a jaka esencja!

Niewierny Tomasz chodził zawsze w długiej, szarej, wytartej kapocie, której dwie połowy zakasane były podszewką do góry. Kapotę tę pokrywał zielony kitajkowy fartuch, w pasie i pod szyją związany tasiemkami. Na fartuch zaś i kapotę zakładał szeroki skórzany pas, sprzączką

mosiężną spięty. Wisiało u pasa tego kółko z pięcioma różnymi kluczami, mały lewarek żelazny do podsadzania szpuntów, grajcarek do odkorkowywania butli z winem, miodem lub likworami, bo i tych u niewiernego Tomasza nie brakło, i zgoła mnóstwo innych narzędzi, co by tu i wyliczyć ich trudno, a u takiego gospodarza jak pan Tomasz, zawsze użytek znalazły.



Więc też kiedy przechodził przez izbę szynkową, to owe wszystko żelazto przy pasie brząkało mu, niby wóz napełniony wojskowymi moderunkami.

kto pije moje piwo, to mu na duchu zdrowiej (str. 113) Owa izba szynkowa, o jednym tylko małym okienku wychodzącym na ulicę, dość była przestronna, ale niska, brudna i zadymiona tak, że na stole z kratkami, po za którym było wejście

do piwnicy i do którego goście płacić przychodzili, we dnie nawet musiała się palić łożówka. Znaczną część ściany w głębi zajmował wielki piec o czerwonych kaflach, a na każdym z tych kafli kunsztowną zduńską sztuką wymalowane było jakieś nieznane zwierzę. Uciecha też to była gości szynkowych, ów piec, z którego niewierny Tomasz wielce był pyszny.

Owego więc dnia, w którym Jakób przybył do nas po napisanie tej swojej supliki, siedziałem wieczorem w kącie izby szynkowej niewiernego Tomasza, rozmyślając o mojej biedzie, a przedemną stał cynowy puhar pełny grzanego piwa, co z pod pokrywy białym wydobywało się musem. Dziewiąta godzina z wieczora wybiła już na Marjackim zegarze, więc i gości w izbie znajdowało się niewiele.

Pan Tomasz zasypiał jak zwykle za stołem kratkowym, świeca kopciała jak za dobrych czasów, a pomiędzy przestankami, piosenki, przez pijanego mieszczanina śpiewanej i szlacheckiej rozprawy nad losami sejmowemi, słychać było syczenie piwa, które się grzało w miedzianym kociołku z ruchomą pokrywą, do pieca przymocowanym.

Siedziałem zagłębiony w myślach moich żalobnych, z głową na dwóch rękach opartą. Już jeden wypróżniłem puhar, ale nie wiem dlaczego

piwo miał pocieszyć mnie, więcej jeszcze smutku dodawało do serca.

gości w izbie znajdowało się niewiele. (str. 115)



Pomiędzy mną a piecem jeden jeszcze znajdował się stolik, ale przy nim nie było nikogo,

mogłem więc spokojnie oddawać się moim rozmyślaniom.

A myślałem o Jakóbie i o wielkiem szczęściu, które go ma spotkać. Jakto? — mówiłem sobie — jednym noże golą, a drugim i brzytwy nie chcę. Bo i cóż lepszego towarzysz rzeźnicki od skrybentowskiego praktykanta? Że łatwo zarznie wieprza, albo utnie wołu po głowie obuchem, to mi wielka sztuka! I ożeni się, i będzie miał pieniądze, i sklep, i gospodarstwo, a ja będę wiecznie łapę lizał i patrzył na jego szczęście. Bo też dureń ze mnie był wierutny, że z takim staraniem przygotowałem mu owo powinszowanie. I pracuj — wołają — ucz się; a na co to się zda owa nauka i praca, że będę wiecznie w budzie siedział, jak pan Mateusz i posiwieję nad papierami, podczas kiedy inni będą mi najlepsze kaski z pod nosa zabierali?

— A czy ja tego dawno nie mówiłem waści? — odezwał się głos ponad moim uchem.

Wzdrygnąłem się i spojrzałem po za siebie.

Miejsce przy stoliku pomiędzy piecem a mną było już zajęte. Siedział tam człek jakiś. A poznałem go od razu, był to ten sam szlachcic, którego spotykałem już w najważniejszych okolicznościach mojego życia. A niecnota przez te parę lat ani na jotę się nie zmienił, tenże sam podarty ubiór na nim, też same rozczochrane

i zapierzone włosy, i oczy zaspane, i gęba ziewająca. Powiedziałby kto, że dopiero co wylazł z za pieca naszego mieszkania. Stała zaś przed nim szklannica piwa, z którego, mówiąc, popijał powoli łyk po łyku.

Patrzałem na niego zdumiony, a on na to:

— No i cóż, waść, tak wytrzeszczasz na mnie oczy, jakbyś chciał mnie już zjeść całego. — To ja — ja, tenże sam.

— A toć widzę, że waszmość — odpowiedziałem — odsuwając się trochę na ławie w przeciwną stronę, bo jakoś mi nie w porę było to jego towarzystwo. Ale mnie po waszmości nic.

— No, no, no, pewnie gniewasz się waść na mnie. Ot, co tam wyszukiwać sobie dawne przyczepki. Co już minęło — to minęło, i teraz nie musi być bardzo wesoło, bo i wychudłeś z krete sem i pobladłeś na twarzy, snać jakaś bieda doskwierać waści musi. A wiesz waść, że ja do rady jedyny, uczyni że mi zwierzenie, a zobaczysz, że zaradzi się jakoś.

Westchnąłem na owo przypomnienie mojej niedoli.

A on począł przemawiać do mnie tak pięknemi słówkami i z taką przyjaźnią się oświadczał, że mi miękko zrobiło się na sercu i powiedziałem mu wszystko.

— I jestże to czego martwić się i mizerować? Co waść sam zrobiłeś, to i sam odrobić możesz.

— A to jak?

— A prosta rzecz. Gdybym był na waści-nem miejscu, wypisałbym mądry jaki list do panny Urszuli, w którymbym oświadczył, że to ja napisałem owo powinszowanie, które jej tak wielką sprawiło przyjemność. Przecież waścina podpis znajduje się tam, więc jeżeli chce, może się przekonać. No, to już powiadam waści, jakby ten list odebrała, wszystkoby się zmieniło i Jakób poszedłby w kąć, bo poznałaby od razu, że z waści człek mądry, a i ze sprytem nielada, kiedy umie sobie tak radę dawać. I zamiast siedzieć, a harować całymi dniami w budzie pana Mateusza, miałbyś waść sklep i żonę urodziwą, i owe worki pełne talarów, co pleśnieją w skrzyni, w komorze pana Macieja. I mógłbyś waść wypocząć sobie i żyć po Bożemu, syto i szczęśliwie.

— Ale jakże tu przesłać takie pismo?

— A od czego ulicznicy w Krakowie? — Jak waść dasz tynfa takiemu, to do samego czarta pismo by odniósł, a co dopiero do takiej urodziwej dziewczki, jak panna Urszula. Tylko uczyn waść jak radzę, a obaczysz, że ci dobrze z tem będzie.

Oj głupi też byłem, głupi, żem posłuchał tej rady!

I dotychczas pojąć nie mogę, jaka kurża ślepota padła wówczas na mnie, że nie zrozumiałem, jako szlachcic śmieje się ze mnie i pragnie mnie na dudka wystrychnąć. A raczej tak mi się w głowie przewróciło, że już nie widziałem nic przed sobą, jeno owo wielkie szczęście, do którego wzdychałem, a które nie mnie, ale komu innemu sądzonem było.

Zaraz więc nazajutrz napisałem list, kubek w kubek taki, jak mnie ów niecnota poradził, i przesłałem go pannie Urszuli przez chłopca.

XV.

Jako zrana można być praktykaniem od skrybenta, a wieczorem miechodmuchem.

Noc przepędziłem wielce niespokojną, śnił mi się ciągle Wrześniak z toporem w ręku i marzyło mi się, że zabija mnie, jak owego wołu na powinszowaniu i głos jakiś wewnętrzny mówił do mnie:

— Oj! Bartłomiejku! Bartłomiejku! wierutny głupiec z ciebie.

A kiedy na drugi dzień zrana szedłem, jak zwykle, do budki pana Mateusza, już przeczynałem, że coś złego święcić się musi.

Kiedy otworzyłem drzwi, ujrzałem, że pan Mateusz nie sam już, jak zwykle, siedzi w kramie swoim, ale stał przy nim pan Maciej Dziumba, z mocno zaognioną twarzą i z oczami tak srogo wpatrzonemi we mnie wchodzącego, iż zdawało się, że mnie całego połknąć chce z kośćcami. A skoro jeno pan Mateusz mnie zobaczył:

— A ty wisusie! urwipołciu! — zawołał — taka to twoja praktyka! A bogdajbyś się nie rodził nigdy na świat! Ot, to mi gagatek do amatorów!

Pan Maciej patrzył jeno na mnie, nic nie mówiąc, ale jego milczenie sroższe było dla mnie daleko i straszniejsze, aniżeli wymysły mego pryncypała.

— Łotr! — mówił dalej pan Mateusz, dalipan wierzaj mi waszmość, żal mi mocno, żem taką zmiję wychodował u siebie. Ano nie chcę już go widzieć na oczy. Zabieraj swoje manatki! — dodał rzucając mi na stół rękawki moje kitajkowe, paczkę piór i trochę papieru, com je był za własne kupił pieniądze — i ruszaj mi stąd, a niech cię nie ujrzę więcej! A dziękuj Panu Bogu, błażnie jeden, żeś co jeszcze nie oberwał, bo jedynie przez szacunek dla mojego kuma, pana Gawła, uprosiłem pana Macieja, żeby sprawę całą tak na lekko puścił. A więc fora ze dwora i idź sobie, gdzie cię oczy poniosą, kiedyś pocziwego chleba uszanować nie umiał!

— A koło sklepu radzę się nie pokazywać więcej — dodał pan Maciej, wyrażając mi zaciśniętą pięścią — bo już na żadne instancje zważać nie będę i zbiję na winne jabłko. I nie dla psa kielbasa, proszę pamiętać o tem!

Stałem osłupiały i oniemiały, słuchając tego wszystkiego, a w piersiach czułem dziwne jakieś ściśnienie, jakby serce jeno co już miało pęknąć.

Ale pan Mateusz nie dał mi nawet czasu opamiętać się, bo porwawszy mnie za ramiona, wypchnął z budy i zatrzaskał drzwi za mną.

Skorom się ujrzał na wolnem powietrzu począłem biec.

A gdzie biegłem i dla czego, nie umiałem sobie z tego zdać sprawy. Dość, że pędziłem co sił stało, byleby umknąć czemprowadz z tych miejsc i nie widzieć przed sobą zagniewanych twarzy mojego pryncypała i pana Dziumbo. A zdawało mi się, jakoby jacyś ludzie gonili za mną wołając ciągle: — Nie dla psa kielbasa!

I te słowa brzmiały mi wciąż w uszach. A jeżeli spojrział na okna kamieniczne, to wydawało mi się, jakby w każdym z nich stała panna Urszula, wyrażająca mi palcem, a po za nią Wrześniak z toporem rzeźnickim wzniesionym ponad głową. To było jakoby powtórzenie mojego snu nocnego. I uciekałem ciągle, a nie mogłem uciec przed owemi widziadłami, które

się mnożyły przedemną. A w sercu czułem żal wielki, że już się wszystko skończyło, stracone dla mnie, a ja pozostałem bez chleba i bez zasobu żadnego, zaledwie z kilkunastu groszami w kieszeni.

O wróceniu do domu rodzicielskiego nie myślałem nawet, bom



zdawało mi się, jakoby jacyś ludzie gonili za mną... (str.122)
wiedział dobrze, co mnie tam czeka.

Więc biegłem tak wciąż przed siebie, aż nareszcie wybiegłem z miasta i ujrzałem się na szczerem polu. A tam, nie widząc już przed sobą ani kamienic, ani sklepów, ani ruchu ulicznego, ani owych twarzy, które wszystkie wydawały mi się zagniewane na mnie, odetchnąłem trochę swobodniej i zwolniłem biegu. Szedłem jednak przed siebie wciąż dalej i dalej, bez zamiaru żadnego, bez myśli, a jeno dlatego, żeby ulżyć trochę owemu srogiemu żalowi, który czułem w sercu. A mijalem i wioski, i osady, i karczmy przy drodze, nie myśląc o zatrzymaniu się w żadnej z nich, bo nie czułem zmęczenia, ani głodu, tak mnie owa myśl o wielkiej stracie, jaką poniosłem, całego zajmowała.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedym zaszedł przed karczmę przy drodze stojącą. Po za tą karczmą, o jakie dwieście albo trzysta kroków, widać było wieś pochylającą się na wzgórkach, i zieleniącą zdaleka ogrodami, które każdą niemal chałupę otaczały. Pośrodku zaś wsi stał kościół biały z czerwonym dachem i wyniosłą dzwonicą, na której odbłyskując ostatnie promienie słoneczne, świecił krzyż metalowy.

Od rana szedłem ciągle bez żadnego przestanku, ni spoczynku, więc nogi uginały się już trochę pode mną i postanowiłem zatrzymać się tutaj. A podobało mi się miejsce owo, bo i wieś, i ko-

ściół, i sama nawet karczma z zieloną wiechą przed drzwiami wywieszoną, miały miły pozór. Obok drzwi stała otwarta brama od zajazdu i mieściło się w nim parę fur, które widać na noc już tam ulokowano.

A z otwartych okien karczmy dochodził gwar pomieszanych głosów. Bawiono się tam wesoło, bo i nie wszystkim ludziom na świecie przychodzi opłakiwać straty, jak mnie w owej chwili.

Ale ta wesołość właśnie sprawiła, że nie chciałem wejść do izby, bo z owym smutkiem, który nosiłem w sercu, dziwnieby mi jakoś było pomiędzy bawiącymi się. Usiadłem więc na drewnianej ławie przed karczmą i pograżyłem się w myślach.

Kilku ludzi wchodzących i wychodzących z karczmy przechodziło koło mnie, ale nie zważali na mnie i żaden mnie nie zaczepił.

Już się na dobre ściemniło, kiedy we drzwiach karczmy ukazała się jakaś postać w kitajkowym, ceglastego koloru kubraku, rzemiennym zaciśniętym pasem i w czapce rogatej na ucho nasuniętej. Twarz owego jegomościa była cała porwana dziobami, których największa ilość zebrała się na nosie, tak, że utracił on już pierwotną swoją formę i wyginał się na prawo i na lewo w różne esy floresy, aż nareszcie przy samym końcu skręcał się spadzisto ku wąsom, pokrywa-

jąc je prawie. Ów nos, a raczej pałka, tem się jeszcze odznaczał, że czerwoność jego w siną prawie wpadała barwę, widocznie właściciel jego musiał często do kufła zaglądać, a miary nie żałował. W rękę zaś trzymał gruby sękaty kij, a widocznie narzędzie



Jeszcze chwilę panie Onufry

silnie plecami o przyzbę, jakby lękał się, żeby mu ziemia z pod nóg nie uciekła, już wielki

narzędzie to musiało mu być bardzo potrzebne, bo stojąc nawet w progukarczmy chwiał się już na nogach, cóżby to więc było gdyby miał iść!

— Jeszcze chwilę, panie Onufry — wołało z wnętrza karczmy parę głosów.

— Ano, nie mogę — mówił pan Onufry, opierając się

czas na mnie. Toć że aspaństwo wiecie, że mi klecha zmarł zeszłego tygodnia, a nowy jeszcze się nie nadarzył, więc roboty po uszy. Trzeba za wszystko samemu starczyć, a dobrodziej nie żartuje ze służbą kościelną. Jutro ranne nabożeństwo, więc wstać muszę skoro świt i oporządzić wszystko.

— No, no, to się zrobi przecież, a nie porzucajcież nas tak nagle.

— Nie mogę, powiadam nie mogę, jak sobie znajdę nowego klechę, to i będzie swobody więcej.

I zabrał się do wyjścia, próbując przed sobą kijem, chociaż grunt gładki, ale człek widno rozważny, na najrówniejszej drodze lękał się dołu jakiego.

Uszedłszy kilka kroków, spostrzegł mnie siedzącego na ławie i przystanął.

A ja właśnie wówczas ocierałem oczy rękawem, bo mi się z owego serdecznego żalu na płacz już zebrało.

— O... O... O... rzekł pan Onufry, a to ki czort. A co to, czy waści prababka stryjeczna umarła, że tak lamentujesz? A chyba nie tutejszy.

— Skądżeto?

— Z Krakowa.

— A cóż waść za jeden?

— Byłem na praktyce u skrybenta — rzekłem — a teraz nie jestem nigdzie.

— A widzę dobrze że nie, boć tu skrybentów nie ma. I lichy tam po nich byłoby w Zagrzebiu. I próżne jeno zawikłanie głowy owa skrybentowska sztuka. A kto waść, szlachcic czy mieszczanin, — he ?

— Mieszczanin, nazywam się Bartłomiej Kulig, jestem synem organisty od 6-tej Anny w Krakowie.

— Ot to, ano swojactwo pomiędzy nami, bo i rodzic waści organista i ja organista, a dwaj organiści, to jakby kto powiedział, dwa palce od jednej ręki. A za czem tu waść ?

Miałem odpowiedzieć westchnąłem tylko.

— No... no... no... mówił pan Onufry, a to waść widzę spuścił nos na kwintę, jak ciełę, kiedy je na rzeź prowadzą. Toć żadnego] członka waści nie brakuje, chłop widzę czerstwy, a i kapota cała na grzbiecie, więc co tu lamentować, toć waść nie na pustyni, ani między Niemcami, więc z głodu nie umrzesz ? Jak to tedy było ?

Odpowiedziałem, że mnie mój pryncypał odgonił od siebie.

— A co waść teraz myślisz zrobić ?

— Sam nie wiem.

— No... toć wiatrem żyć nie można, trzeba czegoś poszukać.

— Będę szukał.

— Wiesz co, aspanie mój, rzekł pan Onufry kładąc mi rękę na ramieniu, a gdybyś waść przy-

stał do mnie na miechodmucha? Jak raz, zeszłego tygodnia zmarł mi mój klecha, a jeszcze sobie nie wyszukałem drugiego. Waść przecie syn organisty, to samo przez się rozumie, że znasz się trochę na tem rzemiośle. Będzie mieszkanie, wikt i oporządzenie, cztery talary rocznie, a przy uroczystościach i odpustach zawsze się coś uciula. No... jakże waść myślisz?

— A cóż mam robić — odrzekłem wzdychając, bo to z owych kantorowych splendorów, które mi dzieckiem wróżono, spaść na wiejskiego miechodmucha, nie bardzo jakoś szło do ucha, ale lepsze to, niżli śmierć z głodu gdzie przy drodze.

— No więc zgoda — rzekł pan Onufry, dłonią w dłoń mi uderzając.

— Teraz wstań waść i pójdz ze mną; od jutra się waścina służba rozpoczyna. A gratów waść nie masz żadnych, he?

Odpowiedziałem, że to moje, co mam na sobie.

— No, to i lepiej, waść przeto bezpieczniejszy od innych; goły rozboju się nie boi. Bo to mówią o takich, co im jeno stroje: W skrzyni kapot sześć, a w domu nie ma co jeść. A waść jedną tylko masz kapotę, ale z głodu nie umrzesz. Podaj mi waść rękę, bo już ciemno, więc dla pewności poprowadzę waści.

Widzi mi się, że to nie ja jego, ale on mojego prowadzenia potrzebował, bo przez całą drogę do wsi opierał się na mojem ramieniu, popychając mnie to tu, to owdzie.

Zbliżyliśmy się do małego domku, który białął poza ogrodem plebanji. W dwóch okienkach tego domku błyszczowało światło. Nagle otwarło się jedno okienko, ukazała się postać niewieścia wrzaskliwy głos zawołał:

— Onufry! nie wstyd ci tak późno wracać?

A widocznie głos ów wielką u pana Onufrego musiał mieć powagę bo jeno go usłyszał, wnet puścił moje ramię i tak krzepko stanął na nogach o własnych siłach, jakby ani jednego kufla nie miał w głowie.

— Ej dażbyś waćpani pokój, pani Onufrowo — rzekł głosem różnym od tego, którym się dotąd odzywał, spóźniłem się, to prawda, ale za to przyprawdzam ze sobą nowego klechę.

— Ot, pewno darmożjada jakiego, jak tamten, świeć Panie nad jego duszą, co tylko garnki wypróżniać umiał, a do roboty ani można go było zapędzić. Już to waszeć zawsze co dobrego wyszukasz sobie. Jaki pan taki kram.

— Ale gdzie tam, to syn organisty z Krakowa, człek uczony i piśmienny, a nawet obeznany z cechem. Jeno asani nie zrzędź, i otwórz

drzwi i daj nam co ciepłego na posiłek, bo kadcuznie zziębliśmy na dworze.

— A wiem ja, wiem, wy wszyscy tak do jedzenia to jedyni, a do roboty byle kim się wyrę-



Onufry! Nie wstyd ci tak późno wracać? (str. 130)

czać. No wejdz że już, włóczykiju, wejdz — mówiła, otwierając drzwi i popychając go tak, że potknął się w samym progu i o mało co głową

nie uderzył o ścianę. Ale pan Onufry przyjął to wszystko jak trusia, i chwytając się po drodze to zydeła, to stołu, to szafy, poszedł usiąść na ławie i odsapnął mocno.

Wszedłem za nim, chociaż to powitanie nie bardzo mi było po sercu, a pani Onufrowa, przyrzawszy mi się uważnie od stóp do głów, potrząsała parę razy głową i poszła krzątać się około wieczerzy.

XVI.

Kościół w Zagrzebiu.

Był tedy pan Onufry organistą przy kościele Zagrzebskim. Kościół ten słynął w okolicy cudownym obrazem. Parafja była spora, a i z okolicy przy każdym odpuszcie, a przypadało ich kilka dorocznie, przy każdym święcie nawet, mnóstwo pobożnych przybywało do kościoła w Zagrzebiu.

Kościół był murowany i dachówką kryty, co jak waszmości wiadomo, rzadko u nas po kościołach wiejskich się wydarza.

W Zagrzebiu ksiądz proboszcz był człkiem wielce dbałym o wszelki porządek i rygor kościelny. Oprócz ołtarza głównego, znajdowały

się tam w kościele dwa jeszcze: jeden do Najświętszej Panny Marji, w którym był umieszczony ów właśnie obraz cudowny, a drugi do św. Stanisława, na którego doroczne święto największa uroczystość w parafji Zagrzebskiej miewała miejsce. A wszystko świeciło się, jak gdyby z igły, podłoga i ławki co tydzień porządnie poszorowane, ołtarze omiecione z kurzu i pajęczyny, wota starannie zawieszane przy ścianach, a już to conajmniej cztery razy na rok dawano nowe kwiaty, pokrycia i wstążki na ołtarz. Słowem, było w tym kościele jak w raju, biało, czysto, świecąco, że aż dusza się radowała pobożnym, którzy do przybytku Pańskiego wchodzili.

Ale najpiękniejszą ozdobę kościoła stanowiły właściwie organy, umieszczone jak zwyczaj każe na chórze naprzeciwko wielkiego ołtarza. Sprowadzono je z wielkim kosztem aż z Gdańska, i było to cudo kunsztmistrzowskiej roboty. A jak podczas nabożeństwa odezwały się one pełnym głosem, to całe sklepienie kościelne drżało jak gdyby od grzmotu, a szyby brzęczały w oknach.

Więc też owe organy były pierwszym okiem w głowie księdza proboszcza. I przykazywał zawsze panu Onufremu pilne dozоровanie, ażeby się w nich co nie popsuło.

Pan Onufry był z gruntu dobrym człekiem, a wytrawnym w swoim rzemiośle, tak że

drugiego takiego napróznobyś na kilka mil naokoło szukał. Wszystkie pieśni kościelne i kantyczki umiał on expedite, a już to, jak zasiadł przed nutami, to szło mu tak gładko, że tylko siedź, słuchaj i podziwiaj. Pieśń za pieśnią płynęły mu jak woda, a dziwnie piękne miewał modulacje głosu. A oprócz pieśni kościelnych, umiał on i wielką moc także światowych piosenek, i prawdziwa była uciecha, jak gdzie na zebraniu przyjacielskiem rozochocił się i śpiewać zaczął, jedno po drugim sypało mu się jakgdyby z rękawa.

Co prawda, lubiał on także często zaglądać do kufła, nabierał wówczas wielkiego humoru, robił się wielce gadatliwym i krotofilnym co nie miara. Piosnki i koncepta spadały jak z worka.

Ów defekt kufelkowy pana Onufrego dobrze był znany księdzu proboszczowi, ale wybaczał mu to z przyczyny wielkich jego talentów organistowskich. I nie zdarzyło mu się omylić, ani odpowiedzieć nie w porę, albo nie uderzyć na czas w klawisze. A już to, co się tyczyło rzemiosła organisty, był on wielkim skrupulatem, i wolałby może przez cały tydzień wstrzymać się od trunku, aniżeli jedną pomyłkę popełnić, lub odezwać się fałszywym tonem. I gdy zdarzyło się czasem, że tuba zapyłona przypadkowo nie odpowiadała mu jak przynależy, to wściekał się ze złości i gotówby wszystko roztrząść naokoło

siebie, gdyby nie dbał na świętość przybytku, i uszanowanie chwale Bożej winne.

Otóż wtedy, koło tych organów najcięższa moja robota była. Bo mniejsza tam o kalkowanie, ale jak je czyścić przyszło, to kilka godzin zabierało czasu, a i z grzbietem był człowiek niepewny. A i kiedy w miech dąłem, a przyszła czasem taka chwila, że się klawisz zaciął, albo ton nie dość pewnie odpowiedział, to już pan Onufry rzucał na mnie srogie wejrzenie, i gdyby nie miał rąk zajętych, dostałoby mi się wówczas. Jakbym ja temu winien był.

Ale zresztą nie mogę się żalić, bo roboty nie było tak wiele, zwłaszcza w dniu powszednie. A już to tam trzeba było robić porządki z wielką akuracją, bo i ksiądz proboszcz pilnował i pan Onufry siedział nad karkiem. Do mnie należały ołtarze, z wszelkim przyborem jaki się na nich znajdował; obrazy święte i utrzymanie porządku w konfesjonałach i ławkach, zaś wszelkie mycie podłóg i zamiatanie, było już rzeczą baby kościelnej, którą ksiądz proboszcz trzymał na łaskawym chlebie.

Przebyłem tak kilka miesięcy.

Zbliżała się uroczystość świętego Stanisława, a z nią i odpust wielki w Zagrzebiu. Od kilku dni już szykowano się na ten odpust. W probostwie robiono wszelki porządek, pomyto podłogi, drzwi

i okna, przygotowano stoły, zwykle bowiem proboszcz w dzień ów przyjmował gości okolicznych, którzy się na ten odpust do Zagrzebia zjechali. A bywało ich zawsze ogromnie dużo. Każdy zaś stawał z wielkim zazwyczaj apetytem. A że ksiądz proboszcz był człowiekiem gościnnym, kazał stoły suto zastawiać.

Więc przywieziono z sąsiedniego miasteczka ogromne zapasy wołowego, cielęcego i baraniego mięsa, a i drobiu co nie miara. Na trzy dni przed świętem zjechała do Zagrzebia panna Katarzyna, siostrzenica księdza proboszcza. Zajęła się wnet domowem gospodarstwem i wszystko w nowy ład przystroiła, a pani Agata, gospodyni księdza proboszcza i stara Maciejowa, owa baba kościelna, o której już mówiłem, biegały z kąta w kąt jak oparzona, słuchając rozkazów. Sam nawet ksiądz proboszcz musiał się wyprowadzić z sypialni do alkierza, bo sypialnię zajęto na spiżarnię i ustawiono w niej porządkiem gąsiorki szerokie z winem, miodem, wiśniakiem, wędzonki i różne zimne zakąski.

I u pana Onufrego było przygotowanie nie lada. Jak to mówią, kiedy u proboszcza gąsiorem, to choćby kieliszkiem u organisty. Ale pana Onufrego, któremu przy chrztach, ślubach, pogrzebach i odpustach dańków napływało sporo, stać było więcej, aniżeli na kieliszek. A zaglą-

dał do niego nieraz przy takiej okazji, jeden lub drugi z uboższych panów braci, a choćby organista, lub zakrystjan jaki, który ze swoim księdzem proboszczem wybrał się na odpust. Pan Onufry każdemu był rad i nie pożałował jadła i napoju, a i jejmość przy takim wielkiem święcie lubiła popisać się ze swoim ładem gospodarskim. Więc też na probostwie, jak i u pana organisty, wszystko było w rygorze wielkim.

A kościół wyglądał wyświeżony jak cacko. Wszystko pomyto, odczyszczono, wypolerowano z nowa. Trzeba było powkładać świeże kwiaty w wazony, świece nowe powsadzać w lichtarze, wytrzepać dywany, i każdy obraz z osobna zdejmować z haku i odczyszczać z kurzu. Zabrało mi to roboty i czasu niemało i aż krzyże mię bolały, kiedym trzeciego dnia po południu w samą wigilję odpustu, kończył trzeci obraz otrzeptywać. A wówczas pan Onufry, który przez ten czas mnie dozorował, nie żałując nawet przyłożenia własnej ręki, żeby robota szła prędzej, rzekł do mnie:

— No Bartłomiejku, możesz teraz wypocząć z godzinkę, a potem musisz się zabrać do organów. Należy je dokładnie obejrzyć, rozebrać wszystkie rzeczy i wyszorować z wierzchu, jak to wiesz, że lubię. A nie zapomnij o aniołkach i koronie, przystawisz sobie drabinkę i porządnie

ściereczką umoczoną w wodzie obmyjesz im nogi, skrzydła i głowy, a szczególnie nad koroną również powycierać trzeba, bo pewnie kurz we wszystkie szpary zalazł. Masz tu oto też trochę proszku do czyszczenia rur.

— Ale — rzekłem — czy nie lepiej jutro z rana, po co dzisiaj, toć to już niedługo noc będzie, a sam jegomość mówi, że z godzinę spocząć trzeba.

— Alboż to brak świec w probostwie na usługę Bożą?

— Toć że wiem, iż się znajdzie, ale przy świecy robota nie idzie tak, jak za dnia. Toć kiedy i jegomości przyjdzie przy świecy pracować, skarżysz się na oczy.

— Ja co innego, a ty Bartłomiejku co innego. Co stare oczy, to nie młode. A i tak nie będę cię już w robocie pilnował dzisiaj, bo czekają na mnie u Froima, dałem słowo, muszę iść. Spiszcie mi się dobrze, jako przystoi na rozgarniętego wyrostka, któremu czysta organistowska krew płynie w żyłach. Już ze wszystkiem spuszczam się na ciebie, wszak wiesz, jak robić trzeba. A o świecę upomnisz się u pani Agaty; ale pilnuj, żebyś gdzie ognia nie zaproszył.

I wyszedł, a ja poszedłem za nim, żeby zgodnie z pozwoleniem, jakie mi udzielił, wypocząć trochę.

XVII.

Jako to różne pożytki bywają z miecha.

Jak się waszmość domyślasz, wcale nie spieszo mi było do mozolnej i zmuďnej roboty czyszczenia organów.

Więc, opatrzywszy się nasamprzód w świecę, jako mi był pan Onufry polecił, skoro zaszedłem do mojej komórki, w której się mieściłem wraz z czterema kurami, jednym kogutem i sześcioma gęsiami, przychowkiem pani Onufrowej, ległem zaraz na tapczanie i zasnąłem jak za dobrych czasów.

Ile czasu przespałem nie wiem, to tylko pewne, że kiedy się obudziłem, już ciemno było na dworze. Przeciągnąłem się raz i drugi, wziąłem świecę, zasadziłem latarkę i poszedłem ją zapalić do kuchni, w której pani Onufrowa krzątała się koło pieczywa, pomrukując pod nosem.

Pana Onufrego nie było jeszcze w domu.

Wyszedłem więc i skierowałem się ku kociołowi.

Przyznam się szczerze waszmości, że nie jestem bardzo rycerskiego usposobienia, a już to w ciemności, to prawdziwie wielki tchórz ze mnie. Jeszcze jak człowiek znajduje się na własnych śmieciach, raźniej mu jakoś; w komórcie z moimi kurami i gęsiami bardzo bezpiecznie i wy-

godnie spać mi było, ale w kościele, naokoło cmentarzem otoczonym, gdzie żywego nie było ducha, chcąc nie chcąc robiło się markotno. I jakkolwiek wiem, że w domu poświęconym służbie Boga, za Jego wolą przenajświętszą nic się złego człowiekowi stać nie może, to jednakże przechodziły mnie ciary, a w duchu bardzo byłem gniewny na pana Onufrego. Ale cóż czynić, służba nie radość. Kiedyś się podjął być grzybem, to leż w kosz.

Więc z niebardzo wielkim animuszem wszedłem już do kruchty samej, tembardziej, że przy wejściu zaczęłem o ławkę, na której siedziała baba kościelna, tak że o mało co nie zwałem się z nóg. Ale poprawiłem się zaraz i potrząsnąwszy się, żeby nadać większy spokój umysłowi, szedłem dalej ku chórowi, przyświecając sobie latarką.

Kościół, jak to już powiedziałem, był dosyć spory. Latarka oświecała słaby tylko krąg wokoło mnie, reszta zaś pozostawała zupełnie w cieniu. A cienie owe w dziwne rysowały się kształty. Ławki przedłużały się i rosły, niby rzędy jakichś rycerzów z przyłbicami na głowach, a konfesjonał stojący z boku przy ścianie, wydawał mi się jakby go przyrosło we dwoje i widziało mi się koniecznie, że ktoś tam siedzi w środku i spogląda na mnie wielkimi, błyszczącymi jak dwa

zarzące węgle oczami. Ale nie zastanawiałem się nad tem wszystkim, tylko szedłem spiesznie, żeby dostać się na chór i pozbyć się już raz tej nocnej przątaniny, która mi siedziała na karku. Wstąpiłem ostrożnie na schody i przyświecałem sobie latarką, żeby znaleźć haczyk, na który drzwi były przyczepione. I dziwnem mi się wydało, że haczyk ów był podjęty i drzwi uchylone trochę, bo tak ja, jak i pan Onufry, którzy sami prawie jedynie zachodziliśmy na chór, nie zaniedbywaliśmy nigdy zamykać za sobą. Ale pomyślałem sobie, że pan Onufry, który ostatni z chóru wychodził, musiał przez zapomnienie drzwi uchylone zostawić, i nie łamiąc sobie głowy nad tem już więcej, wszedłem.

Na chórze straszniej było aniżeli w samym kościele, bo przechyliwszy się na galeryjkę, która okalała organy, a przyświecając sobie latarką, spojrzałem na dół z przyzwyczajenia, bo tak czyniłem zawsze zanim się zabrałem do roboty miechowej; tak mi się tam wydało dziwnie i ponuro, że cofnąłem czemprowadzej latarkę i poszedłem w kąt po drabinkę, którą trzeba było z przodu organów przystawić.

Więc z drabinką w jednej ręce i z latarką w drugiej, spoglądałem w górę, żeby nie zaczepić drabinką o belkę z pułapu, włożę na deski, które były pomiędzy organami a miechem, kiedy nagle

potykam się o coś. Schyliłem śpiesznie latarkę, żeby zobaczyć co to, i widzę... but, a za butem nogę, a za nogą jakiegoś człowieka, który leżał jak długi na miechu, nogi za deski wystawiając. Okropny zdjął mnie strach, aż włosy stanęły mi na głowie, zimno mi się zrobiło i latarka o mało co nie wypadła z ręki. Człowiek jakiś tu, o tej porze, skądże się wziął i którędy wszedł? Zaledwie miałem dość siły zawołać trzęsącym się od wielkiego przerażenia głosem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— A no, dla czego nie ma chwalić, kiedy tak przykazano? odezwał się jakiś głos dobrze mi znajomy. Człowiek ów podniósł się z miejsca i ujrzałem przed sobą mojego szlachcica z za pieca, który stał przodemną z gębą szeroko do ziewania otwartą, jakgdyby mnie chciał połknąć.

Na ten widok jako żywo zapomniałem o całym przestachu, tak mnie zirytowało to spotkanie sprawcy mojej złej doli. Bo komuż, jeżeli nie jemu winien byłem wszystkie nieszczęścia, które mnie dotąd spotykały?

Ale on, jakby nie poczuwał się do niczego:

— A co to? — rzekł — waść przychodzisz tak późno organy czyścić? Toćże nie pora nocą na taką robotę.

Chciałem odpowiedzieć, ale język stanął mi kołem w gębie i bełkotałem tylko. Z wielkiego

gniewu byłbym go uderzył pięścią, nie bacząc co się dalej stanie, gdybym nie miał obu rąk zajętych.

A on począł śmiać się, jakgdyby nigdy nic.

— No, no, no — rzekł nareszcie, wysapawszy się do woli — czy to tak przyjmuje się dawnych przyjaciół? Nie kiwajże waść tak gwałtownie rękami, toć że już widzę, że waść nie możesz mnie uścisnąć, jakby po tak długiem niewidzeniu się przynależało, bo masz obie ręce zajęte, ale obejdzie się bez tego, bo ja i tak wiem dobrze, jak mnie waść mocno miłujesz.

— A bodajżeś!... — wyjąkałem z trudnością i reszta słów zamarła mi w ustach z wielkiej złości, bo krew burzyła się we mnie.

— Ot co? waść się widzę gniewasz? A to skąd się wzięło? Tu nie gniewać się, ale dziękować Bogu byłoby do rzeczy. Bo ja przyszedłem tutaj pomagać waści w robocie i nawet dobrą połowę jej odprawiłem, już przedmuchałem rury i...

— Idź że mi z oczu! — zawołałem zamierzając się drabinką na niego — fora stąd zaraz, bo inaczej źle będzie.

— A co ma być źle? robota we dwóch zawsze lepiej idzie, niż pojedynczo. Tylko się zabrać...

— A dajże mi już raz pokój z twoją utrapioną pomocą! — wykrzyknąłem. — Ja roboty twojej nie chcę na oczy widzieć, już mi się ona dobrze przejadła, wraz z mądrymi radami, które dajesz nieproszony. Idź mi z oczu, mówię ty... jeden... dopóki się jeszcze powstrzymać mogę, bo dalibóg zapomnę, że się w domu Bożym znajdujemy i wytataruję ci skórę, co się zmieści!

— A to tak? — zapytał podpierając się pod boki i uśmiechając się, jakby dworował sobie ze mnie.

— A tak — odpowiedziałem — żadnych uniewinniań się, jeno precz!

I stawałem już na ziemi latarkę, żeby zabrać się do wypchnięcia go.

— A no, nie tak ostro — odpowiedział — pójdę sam, pójdę, nie potrzeba tych wszystkich pogrózek... A znasz waść przysłowie, boś kościelny przecie: nie miła księdzu ofiara, pójdź cielę do domu. A ja choć nie cielak, to dom sobie najdę. A i zobaczymy się jeszcze, zobaczymy i może wówczas waść nie będziesz taki sierzysty i przyjmiesz lepiej ludzi, którzy ci nic złego nie uczynili, a jeno dali pomoc i zdrową radę, kiedy waść tego najbardziej potrzebowałeś.

— Idź do licha z twojami radami — mruknąłem przez zęby, ale on nie słuchał już mnie

więcej, kierując się ku drzwiom i powtarzając tylko ciągle „zobaczymy się jeszcze.“

I zniknął w ciemności, ale usłyszałem jak pewnym krokiem szedł przez schody, jakgdyby w biały dzień, a potem ujrzałem go na dole, przesuającego się pomiędzy ławkami, zmierzając ku wyjściu. U drzwi zatrzymał się chwilę, odwrócił ku mnie i powiedział jeszcze raz „zobaczymy się“, nawet zdawało mi się, że machnął ręką, jakby się czapką kłaniał i wyszedł.

Zaledwie ochłonałem z owej wielkiej emocji i rozmyślając sobie, jakim on sposobem mógł się tu dostać, boć kiedy odchodziliśmy z panem Onufrym, zamknęliśmy drzwi kościelne na klucz i chyba od rana przesiedział sobie gdzie tu w kącie, kiedy nagle usłyszałem gniewliwy głos pana Onufrego:

— A cóż to, skurczypało! jeszcześ nie skończył? Toć że już północ nie długo, a ty guzdrzesz się ciągle, jak gdyby nigdy nic. Szczęście, że wychodząc od Froima zawróciłem tu, żeby opatrzeć twoją robotę. Boby to chyba na całą noc się zabrało. Do niczego, dalipan do niczego.

I słyszałem, jak pomrukując gramolił się na schody, a poznałem już z tonu jego mowy, że jest w złych sosach, więc strach wielki zdjął mnie, żeby nie spostrzegł, że tu jeszcze nie ma

nic zrobionego. Poszedłem więc do drzwi
z latarką naprzeciwko niego,
mówiąc:

— Rury już wy-
dmuchane



Poszedłem więc do drzwi
z latarką naprzeciwko nie-
go, mówiąc . . .

tylko idzie o odczysz-
czenie z wierzchu, a
to piorunem pójdzie.

— Ale czy wydmu-
chane porządnie? —
zapytał niedowierzając
pan Onufry — czy wy-

mowałeś je kolejno, bo to najmniejszy pyłek... A zresztą ty wiesz, że ja w takich rzeczach nie żartuję.

— Wiem ci, wiem — odpowiedziałem, chcąc czempędzej odwrócić jego uwagę od tych rur utrapionych — wszystko zrobione już jak przynależy i tylko trzeba z resztą się zawiąć.

— A no, więc do roboty — rzekł pan Onufry zdejmując kapotę, i rozpoczęliśmy na dobre szorowanie.

W pół godziny wszystko już było gotowe, wyszliśmy i zamknawszy kościół, udaliśmy się na spoczynek.

Szczęściem pani Onufrowa już spała. Sprawiliśmy się po cichu, żeby jej nie zbudzić, a panu Onufremu było pilno do łóżka, bo tak jak był, z całym ubraniem legł zaraz na pościeli, a ja poszedłem do moich kur i gęsi.

I nie napróżno były przygotowania w kościele, plebanji i dworku, bo na ów odpust pobożnych w Zagrzebiu zebrało się huk.

A choć to jak zawsze, ludu wiejskiego najwięcej, to i szlachty sąsiedniej zjechało sporo, tak że aż Froim w głowę zachodził, gdzieby to wszystko pomieścić.

Więc co nie mogło znaleźć pomieszczenia w karczmie, rozlokowało się po chałupach, albo

wprost na placu przed kościołem, gdzie za-
legło pełno wozów, fur i bryczek, że aż trudno
było się precisnąć. Wszystkie duchowne osoby
i kilku ze szlachty zajechali do probostwa, gdzie
już na nich ugoszczenie czekało, a pan Onufry
miał też sporo znajomych u siebie. Ale że to
służba Boża przedewszystkiem, więc wszyscy
podążyli do kościoła, gdzie i połowa zebranego
ludu pomieścić się nie mogła; reszta pozostała
na cmentarzu z odkrytymi głowami, modląc się
pobożnie.

Po mszy cichej miały nastąpić śpiewy i ku
temu zebrało się na chórze kilku zakrystjanów
i organistów z sąsiednich parafij, a nawet pięciu
czy sześciu panów braci, z których każdy kolejno
na wszystkich okolicznych odpustach tę przysługę
wyrządzał.

Pan Onufry, otoczony owymi śpiewakami,
z wielką powagą zasiadł przed organami, a ja
stałem przy miechu.

Więc pan Onufry, jako człek obeznany ze sztuką
i nie lubiący na lekko rozpoczynać tak ważnych
obowiązków, przeżegnał się nasamprzód, jako
miał we zwyczaju, następnie z kieszeni świę-
tecznej kapoty wydobyl bawełnianą, czerwoną
w czarne kraty chustkę i obtarł nią klawisze,
potem i dłonie swoje, które były spocone od wiel-

kiego rannego krzątania. Dalej przechylił się i dmuchnął silnie z prawej strony w lewą, żeby otrzepnąć wszelki pyłek, który w klawiaturze mógł się jeszcze w jakiej szparze gnieździć. Wreszcie zawinął rękawy od kapoty, i ustawivszy dobrze stołek, żeby mu się nie chybnął, zasiadł na nim, poprawił się, kiwnął parę razy głową, obejrzał się po wszystkich, czy gotowi i mnie dał znak palcem, żebym rozpoczął dymanie.

Na ten znak zabrałem się gorąco do drąga, zaważyłem całą siłą i podniósłszy w górę, wpuściłem powietrza, ile tylko organy mogły pomieścić, a pan Onufry uderzył lekko w klawisze, żeby rozpocząć praeludium.....

Ale strach powiedzieć: organy milczały, tylko chwilami wydawały pisk jakiś dziwny, ni to miauczenie kota, ni skowyt psa. Były to głosy przeraźliwe i kwiczące, jak gdyby swawolni chłopcy tarli skorupami o gładkie szyby.

Pan Onufry aż poskoczył na stołku, a wszyscy z wielkiego zadziwienia wyłupili oczy i roztworzyli gęby.

Mysząc, że miech niedopisuje i powietrza braknie, dał mi powtórny znak, i to już nie palcem, jako za pierwszą razą, ale pięścią pełną, co było dowodem u niego wielkiego gniewu. Powaliłem się cały na drągu i zadałem z wszy-

stkich sił, aż mi się gorąco zrobiło, bo przeczuwałem, że się coś nie dobrego święci.

Ale gdzież tam, ani rusz! Ni jednego czystego tonu wydobyć było niepodobna. Pan Onufry rozsierdzony uderzał w klawisze co raz bardziej, ze złością, z wściekłością prawie. Ale było coraz gorzej. Z pisku przeszły organy w skrzeczenie, a potem warczało w nich i skrzeczało, i słychać tylko było łoskot silnie poruszanego miecha, podnoszącego się i opadającego kolejno.

Pan Onufry upierał się, sądząc, że to z początku tak mu organ nie dopisuje, a raz głos wydobywszy, pójdzie jak powinno. Ale na próżno zmieniał pedały, tupał nogami i tłukł pięściami o klawisze, na próżno próbował z kolei wszystkich tonów, ani rusz. Trzeba było zaprzestać. Nawet ludzie w kościele poczęli się oglądać na chór, żeby dopatrzeć, co się tam takiego stało, że zamiast muzyki organów słychać było tylko piski i rumot jakiś.

Pan Onufry wstał ze stołka, twarz mu poczerwieniała jak burak, a nos srożej jeszcze wydął się i zsiniał.

Dobiegł do mnie, który w wielkiej alteracji dymałem wciąż mój miech, bo wprawdzie nie wiedziałem, jakie лихо nabawiło nas tego kłopotu, ale domyślałem się wielce sprawiedliwie, że to wszystko na mojej tylko skórze skupić się musi.

I rzeczywiście też tak się stało.

Organista podszedł ku mnie i, porwawszy za kołnierz od kapoty, podniósł mnie z ziemi, a odgoniwszy od mojego miecha, przy którym ciągle napróżno się upierałem, ku drzwiom skierował. I wiódł mnie tak przed sobą, trzymając wciąż za kołnierz prawą ręką, a kolanem i lewym kulką popychając ku wyjściu. Wprędce zbie-



Kury i gęsi przyjęły mnie z wielką atencją.

liśmy ze schodów i bocznymi drzwiami wyszliśmy z kościoła. Pan Onufry nic zgoła nie mówił tylko sapał okrutnie, a ja tak byłem przestraszony, że do szczętu języka w gębie zapomniał. Doszliśmy tak do dworku, a pryncypał mój nie odpowiadając nawet na zapytania jejmości, która usłyszawszy hałas odeszła od garnków i z wielką

ciekawością przypatrywała się temu widowisku, wepchnął mnie do komory i zatrzasnąwszy za mną drzwi, na rygiel zasunął.

Pozostałem tedy sam w komorze, to jest nie sam, bo jak powiedziałem, oprócz mnie znajdował się tam przychówek pani Onufrowej.

Kury i gęsi przyjęły mnie z wielkiem poszanowaniem, bo się wszystkie usunęły w kąt za mojem przybyciem, tylko kogut pozostał na beczulce pod oknem, gdzie zwykle obierał stanowisko i jakby na większy despekt mojej niedoli zaczupurzył się, nastrzępił grzebienia, rozwinął skrzydła i zapał bestja dwukrotnie, niby natrzęsając się ze mnie, a potem pozostał tak stać w wyzywającej postawie.

Ale u mnie nie było podówczas ochoty do kłótni nawet z kogutem. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem wcale, co się ze mną dzieje i jak się to wszystko dalej rozwikła. Jeno widziało mi się ciągle, że coś złego się święci, upadłem więc na tapczan i począłem srodze wyrzekać na mój nieszczęsny los.

— O Bożeż mój, Boże! — zawołałem — Cóżem ja zawinił, że tak na mnie jedno po drugim się wali? Myślałem, że to jeno w Krakowie takie nieszczęście mnie prześladuje i że choć tutaj zagrzeję trochę miejsca, a tu masz djable kaftan!

— I co u licha zrobiło się tym utrapionym organom?

— Toć że dąłem w miech należycie, a tu jakby zaklął — ani rusz! Teraz wszystko na mnie. Ano chyba ten piekielnik z za pieca musiał tam coś popsuć. A skąd on się tam wziął, którędy wlaź? Ano, stamtąd, skąd się zawsze bierze. Bo to jak raz z nim to utrapienie przyczepiło się do mnie, tak już mnie nie opuszcza.

I myślałem nad tem długo, ale nic wymyśleć nie mogłem. Tylko widziałem jasno, że ten człowiek, to zesłanie na mnie jakieś srogie i przyrzekałem sobie solennie, że jeżeli Bóg da zdrowo wyjść stąd, a zobaczę go raz jeszcze, to mu chyba już karku nadkręcę, żeby mi więcej nie szkodził. Ale tymczasem nie wiedziałem, co się dalej ze mną stanie, a w oczach stało mi ciągle zagniewane oblicze pana Onufrego.

I zazdrościłem kurom i gęsiom, które widziałem przed sobą, że jeno im o ziarnie myśleć, jaja znosić i spokojnie siedzieć w komorze, a o nic więcej nie troszczyć się na świecie. One tymczasem nie zważały już na mnie, kwakając i gęgając pomiędzy sobą, jak za dobrych czasów. Mnie zaś się zdawało, że w swojej ptasiej mowie rozmawiają o mnie, naśmiewając się z mojej niedoli. Szczególniej jedna wielka szara gęś, rozpuszczając skrzydła i zataczając się na ciężkich nogach, podchodziła parę razy aż do tapczana, na którym leżałem, podnosiła łeb, roztwierała

dziób i syknąwszy wracała napowrót do kąta. Nawet takie mizerne stworzenie miało już mnie za ba.... i bardzo. A kogut chodził wciąż po izbie i puszył się, i buńczuczyl, spoglądając na mnie z podełba. Tak mnie gniewało to jego przekomarżanie, żebym mu chętnie łeb ukręcił, gdybym się nie bał pogorszyć sobie tem sprawy, bo kogut ów był pierwszym okiem w głowie pani Onufrowej.

Tak przeszedł spory kawał czasu.

Nabożeństwo już musiało się było skończyć, bo w dworku zrobił się rumor, jakby się cały napełnił ludźmi. Słyszałem krzątanicę i pomieszany gwar głosów, i szcęk talerzy, i brzęk butelek, i suwanie stołkami i ławkami. Widać goście pana Onufrego zeszli się już i spożywali przygotowane przez jejmość zapasy jedzenia.

A do komory nikt nie zaglądał.

Głód zaczął mi dokuczać, bo od samego rana nic nie jadłem. A jeszcze bardziej pusto robiło się w żołądku, kiedy słyszałem, jak o ścianę odemnie bankietowano. I stawały mi w myśli owe kiełbasy i szynki, i bigos, i kapuśniak, które pani Onufrowa od kilku dni już przygotowywała na ten bankiet, tak że patrząc, jak się zabierała koło nich, spora ślinka szła mi do ust. A tu nic zgoła. I przy tem strach coraz gorszy mnie

zdejmował, bo myślałem: piją, jedzą, a jak podpiwszy przypomną sobie o mnie, to będzie storkość gorzej. Więc parę razy przychodziła mi myśl ucieczki, zbliżałem się do okna; wychodziło ono na podwórko, a stamtąd przez płot i już pole. Ale okno zabite było gwoździami, trzeba więc było je podwalać, albo wybijać szyby, co by już narobiło niemało rumoru, a przytem gdzie tu iść i co robić z sobą? Tak źle, a tak jeszcze gorzej. A więc na wolę Bożą, powiedziałem sobie, przecież mi głowy z karku nie zdejmą. Lepiej już czekać, boć mnie się i grosiwa należy za całe dwa kwartały, tego mi nie zaprze, a gdybym uciekł, przepadłoby wszystko.

Położyłem się znów na tapczanie i czekałem.

Czekałem długo, bardzo długo. A w sąsiedniej izbie gwarł rósł, potem ucichał i wzrastał znowu. Nareszcie usłyszałem jakieś wykrzykiwania i odgrążania się. Ani chybi, pomyślałem sobie, o mnie rzecz idzie. I nie omyliłem się, bo wkrótce doszedł moich uszów odgłos ciężkich kroków, zbliżających się do drzwi komory. Poznałem chód pana Onufrego. Odsunięto rygiel, drzwi się otworzyły i organista stanął w progu.

— Wstań waść i chodź ze mną — rzekł.

Kiedy pan Onufry wszedł wprowadzając mnie, ucichło nagle, i każdy starał się przybrać

poważną postać, niby sędziów czekających na obwinionego.

Pan Onufry zasiadł na opróżnionem miejscu u rogu stołu, które śnać zajmował przed chwilą i odwróciwszy się do mnie, rzekł:

— A no, sprowadziliśmy tu waścia, ażebyś nam zdał sprawę ze swojego niedbalstwa, które taki wstyd służbie kościelnej w Zagrzebiu przyniosło, i to podczas najsolenniejszej uroczystości dorocznej, kiedy tyle pobożnego ludu, bo nawet ważnych i poważnych personatów, odwiedza nasz kościół, żeby uczcić święto błogosławionego patrona naszego. Gadajże waść, słuchamy.

— A i co mam gadać? — odrzekłem. — Alboż ja wiem? Ja niczemu nie winien.

— Ot i macie go! — zawołał pan Onufry, i widać było, że pomimo powagi jaką przybierał, gniew wewnętrzny wrzał w nim coraz bardziej. — niczemu nie winien! A czyjaż to rzecz czyścić i przygotowywać organy? Wszakże waści zleciłem wczoraj tę służbę i sam powiedziałeś, że ją sprawiłeś należycie. A tu zamiast wyczyszczenia, wszystkie rury, jakieśmy sprawdzili na miejscu, pozatykane były pakułami i starymi szmata-
mi, które jako *corpus delicti*¹⁾ przynieśliśmy z sobą. I waść powiadasz, że to nie waści wina. A no,

¹⁾ Przedmiot winy.

któżby mógł wejść na chór i zdobyć się na takie złe figle, kiedy u waści był przecież klucz od kościoła.

— To chyba ten szlachcic z zapieca.....

— Jaki szlachcic?

— A ten, o którym już rozповідаłem jego-
mości, co to mi zawsze na przekorę robi.

— Gadaj waść innym takie baję, ale nie nam. Już ja pomiarkowałem, że z waści nietylko nicpoń, ale łgarz wielki, a teraz widzę, żeś oszust całą gębą. Szlachcic nie szlachcic, trzeba się tu tłumaczyć, coż waść miał za myśl, żeś chciał tak skompromitować sprawę twojego pryncypała i kantorów łaskawych na nasz kościół. Boć to było wstydem nietylko dla mnie, ale dla wszystkich panów tu obecnych, którzy corocznie śpiewem swoim dopomagają mi w uświetnieniu odpustowego nabożeństwa.

— A rozumie się że tak, odezwało się kilka głosów.

— To był wstyd dla nas wszystkich!

— I ludzie wydziwiali nas!

— I ksiądz proboszcz w wielkim był gniewie!

— A organista z Przyrowia, który przyjechał umyślnie, żeby pierwszy raz usłyszeć sławne tu-
tejsze organy, zabrał się na bryczkę i nie chciał nawet zaproszenia przyjąć.

— I wielki był skandal w kościele. A nawet sumy należycie odprawić nie było można.

— No gadajże waść! — wrzeszczał pan Onufry — wszakże słyszysz o co cię obwiniają, odpowiadaj więc!

— Ale ja nie winien — wyjąkałem zalekły tym całym wrzaskiem, który się na mnie coraz bardziej srożył — to on wszystko sprawił.

— Jaki on?

— A tego już zanadto — zawołał wąsaty i barczysty szlachcic, powstając z ławy i zbliżając się do pana Onufrego — trzeba pokazać temu chłystkowi, że nie wolno drwinkować sobie z pocziwych ludzi. Toć że on żarty sobie sprawia, czy co? My go nauczymy żartów!

— Hejże? Zabrać się do niego!

— Czterdzieści bizunów!

— Co czterdzieści? I sto byłoby za mało.

— Ubić błazna na śmierć!

— Obedrzeć go ze skóry, albo spalić żywcem, jak heretyka, kiedy ze służby Bożej przedrwiwa sobie.

— Obciąć mu nos i uszy!

I wrzeszczeli wszyscy razem, tłukąc pięściami o stół i wielki hałas czyniąc w izbie, a mnie aż ciemno robiło się w oczach.

— Czekajcie no aspaństwo! — zawołał pan



„My go nauczymy żartów.“ (Str. 158.)

Zbigniew Roszkiewicz
Fornal

Onufry, który przez ten czas rozmyślał jakoś — bo to.... ot mam już jak raz dobrze, dobrze.... już wiem, co z nim zrobimy.

— A no co?

— Tylko nie ociągać się!

— Dla przykładu, panie bracie, dla przykładu, takich rzeczy nie należy puszczać płazem.

— Obraza Pana Boga! To straszna zbrodnia, ogień, z nieba spaliłby nas jako Sodomę i Gomoreę, żebyśmy mu mieli darować.

— Więc poczynaj waszmość, a spiesz.

— Zaraz, zaraz cierpliwości — mówił pan Onufry, którego ten pomysł, o jakim mówił, zdawało się, zupełnie uspokoił, bo miasto sierdzić się i wygrażać pięściami, jak to czynił z początku, spoglądał na mnie, uśmiechając się i trąc sobie nos dłonią, co mu się zdarzało, kiedy był wielce kontent z siebie. Będzie, wszystko będzie, tylko należy poczekać chwilkę. I odwracając się do pani Onufrowej:

— A przyniesz no nam jejmość z kuchni mieszka — rzekł — to ta się wnet wszystko urządzi.

— Ot masz! — zawołała pani Onufrowa — teraz mu mieszka potrzeba. Co to, będziesz mu pod nos wydmuchiwał? Bo nie mieszka, ale harapnika, albo wici zdałoby się na takiego urwipółcia jak on — dodała odwracając się do mnie.

— No, no — rzekł pan Onufry tak jakoś pewny siebie, że prawie rozkazującym głosem te słowa wymówił, co mu się względem żony nigdy nie zdarzało, już ino aspani przynieś, a będziesz miała uciechę. Będziemy wszyscy mieli uciechę wielką.

I ucichło się nagle, bo kiedy szło o koncepta, każdy wiedział, że pan Onufry w tem właśnie prym trzymał. Więc wszyscy powstali z miejsc i przypatrywali się z wielką uwagą, co to dalej będzie.

Wkrótce też pani Onufrowa ukazała się z żądanym mieszkciem.

Na rozkaz pana Onufrego uprzątnięto miejsce na stole i rozłożono mnie na wznak, podczas kiedy czterech silnych chłopów trzymało mnie za ręce i za nogi. Wówczas pryncypał mój zbliżył się do mnie z mieszkciem w ręku i rzekł:

— Waściny obowiązkim było czyścić organy i wydmuchiwać rury, żeby nic niepotrzebnego w nie nie załazło. Nie dopełniłeś tego, owszem uczyniłeś na przekorę, naraziłeś przeto służbę kościelną na wstyd i szkodę. A stało się to z przyczyny złego ducha niedbalstwa, kłamstwa i wszelkich niegodziwości, który w tobie obrał mieszkanie, przez twoje usta odzywa się bredniami i łgarstwem, i przez twoje ręce matactwa płata. Więc my tutaj zebrani postanowiliśmy

tęgo złęgo ducha wypędzic z ciebie, i jako wszędl powietrzem, przez gębę, wycięniemy go z ciebie, żeby wrócił do piekiel skąd przyszedł; a duszę twoją zostawił wolną od wszelkiego złęgo. I oczyszcimy cię i wywietrzimy, jakeś ty nie chciał uczynić z tubami organowemi, a czynimy to wedle tej świętej zasady, że nie trzeba złem za złę, ale dobrem za złę odpłacać. Do roboty więc!

I wsadziwszy mi gwałtem w usta rurę od mieszka, podczas kiedy tamci trzymali mnie, żeby się nie poruszył, poczał dąć mi w gębę powietrze całą siłą.

Chciałem krzyknąć, ale w teje chwili tchu mi zabrakło, oczy wylazły na wierzch, piersi się wydeły, a nogi i ręce skurczyły od wielkiego naprężenia.

I nagle jasność wielka zabłyszczała mi w oczach, jak gdyby tysiące płomieni rozpalono wkoło mnie, potem pociemniało, uczułem ból gwałtowny w piersiach i utraciłem pamięć o wszystkim.

XVIII.

Jak to wszelaka rzecz na świecie, a nawet powieść Bartłomiejowa musi mieć zawsze swój koniec.

Nie będę opisywał waszmości, jak długo chorowałem obłożnie po tej całej historji od-

pustnej. Przez sześć z górą tygodni ani ręką, ani nogą, nie mogłem ruszyć po tem przedmuchianiu.

To jednak trzeba przyznać, że pan Onufry widząc mnie poważnie chorym i nieledwie umierającym, począł żałować swojego uniesienia i miał o mnie staranie, niby o syna własnego. Pomi-mo jednak tego i chociaż namawiał mnie gorąco, żebym nadal pozostał przy nim, postanowi-łem rozstać się z nim, zwłaszcza, że już zbrzydzi-łem sobie Zagrzebie i całą służbę organistowską. Pan Onufry, oprócz należnych mi pieniędzy, do-dał jeszcze półtora talarą gratyfikacji, pani Onu-frowa zaś zaopatrzyła mnie w zapasy wędzonki, chleba, masła, sera a nawet w kołacz, który umyślnie dla mnie upiekła.

Nie brakło mi więc żywności w drodze.

Przybywszy do Krakowa, przedewszystkiem: udałem się do mieszkania rodzica, bo myślałem, że jakoś po tak długim niewidzeniu, zapomni moich dawniejszych przekrobań. Ale nie miesz-kał już tam, zastałem tylko pana Gawła, który mi wręcz oświadczył, że pan ojciec ani słyszeć już o mnie nie chce, ani mnie widzieć na oczy. Pogodziłem się wprawdzie z nim później, ale nigdy już do mnie nie miał wielkiego serca, aż do swojej śmierci, która dwa lata temu nastąpiła.

I trudnoby opowiedzieć waszmości wszystkie te moje przejścia, bo Bóg wie, czego się jeszcze

nie chwytałem i z jakiego pieca chleba nie jadłem. A gorzki to był chleb, bo nic mi się nie wiodło. I wszędzie z początku szło to jako tako, ale zawsze to lichy, ów szlachcic z za pieca musiał się wtrącić i wszystkie szyki połamać. A skąd on wyłaził i jakim sposobem stawał mi na drodze, tego już zgoła nie wiem, tylko to pewna, że wszędzie, gdzie jeno się pokazał, mięszał mi szyki, jak to już w tem wszystkim, co waszmości opowiadałem, mogłeś waszmość dostrzec.

Oj, Bożeż mój Boże! Czegoż to ja nie doświadczyłem! Praktykowałem w kilku jeszcze rzemiosłach, chodziłem z szopką na Boże Narodzenie i z oracją na Wielkanoc, byłem nawet pacholkiem przy panach radnych miejskich.

Aż nareszcie nie wiedząc czego tak mi już wszystko nie dopisywało, za ostatnie pieniądze, które mi pozostały, kupiłem sobie flet ten o to i zostałem muzykantem najemnym. I zdawało mi się, że raz przecie trafiłem na jakie takie zapewnienie bytu, bo z początku rzemiosło muzyka dość jakoś dopisywało i znajdowałem tu i owdzie zajęcie. Jak wiadomo waszmości, za ostatnich lat panowania Jegomości króla Augusta II-go, życie w Krakowie szło dość wesoło, tu i owdzie były różne biesiady, reduty, kuligi i zebrania liczne. Szlachta okoliczna zjeż-

działa do miasta, i z panów często gęsto ten i ów zajrzał. Zapust schodził wesoło i huczno, a i w ciągu roku wydarzały się nierzadko wesela i zabawy. Na te wszystkie okazje najmowałem się wraz z innymi muzykantami, i były tu w Krakowie trzy czy cztery kompanie, które w zapust chodziły po domach, a nawet z kuligami po wsiach rozjeżdżały. A już to na nowy rok i na Trzech Króli zbierało się suto grosza, chodząc od domu do domu i przygrywając. Zaś przy imieninach którego z bogatszych mieszczan, zdarzała się także gratka nie lada, bywało tylko stanąć przed drzwiami kamienicy, a urznąć od ucha, to już gospodarz zapraszał do siebie i ugaszczał, i karmił i poił, a na odchodnym sypnął coś grosiwa.

Raz nawet pomnę, spory mi się nadarzył zarobek.

W wielką sobotę rano, odbywała się śledziowa uroczystość. Więc jako to w zwyczaju, na małym rynku przed kamienicą pana Przyzięby wykopano dół i zasadzono w nim kloc wierzbowy, z gałęzi obciosany. A na owym klocu, na długim powrozie powieszono śledzia, jakoby na okazanie, że jego panowanie skończyło się i nie miał już dalej morzyć żołądków ludzkich słabym posiłkiem swoim. Więc każdy pod tego śledzia podchodził, i wyrzekał na niego i wyma-

wiał mu wszystkie biedy, jakich przez cały czas panowania jego doznał. A uliczna gawiedź rzucała nań kamieniami, śpiewając:

A precz że ty śledziu, nie nawiedzaj nas,
Bo teraz na szynki i kiełbasy czas.

A precz z tobą śledziu, nam już spokój daj,
Bo czas przyszedł mięsa, kołaczów i jaj.

A śledź niebożątko wisiał sobie bardzo pokornie i musiał cały ten despekt wytrzymać, chociaż przez całe sześć tygodni zeszłych w tak wielkiem był poszanowaniu. Ale tak zawsze bywa, że komu się noga obsuwać poczyna, tego już każdy w dół popycha, a na pochyłe drzewo to i kozy skaczą.

Przypatrywałem się tedy z wielką ciekawością temu całemu widowisku, kiedy patrzę, jak tu niewiasta jakaś służebna wynosi z domu wielki garnek z żurem. A za nią szło kilka innych niewiast i poczęły wodzić oczami po nas wszystkich, jakby szukały kogoś. Nareszcie jedna z nich zbliżyła się do mnie i rzekła:

— Mój człeku, a nie mógłżebyś ty pogrzeb sprawić temu żurowi?

— A to na co? — zapytałem.

— Jak to na co? Żaliż ci niewiadomo, że przy końcu wielkiego postu trzeba koniecznie żur pogrzebać, żeby się już więcej nie tułał pomiędzy ludźmi, boć nie potrzebny więcej? Oto szu-

kamy czleka dobrej woli, coby ten pogrzeb



A precz że ty śledziu, nie nawiedzaj nas
Bo teraz na szynki i kielbasy czas. (str. 165)

uskutecznił.

— A no zgoda, — odpowiedziałem, — a będzie co za to?

— Będzie, toż my przysługi nie żądamy za darmo, a po odprawionym pogrzebie i stypa się znajdzie.

— Pokażcież mi więc jeno, jak to z tem trzeba sobie począć, a ja już wszystkiego dokonam.

Wówczas jedna z niewiast wyjęła z pod fartucha kawał sieci, umyślnie już do tego przyrządzonej, i włożyła mi ją na plecy. A w tej sieci umieściła garnek ów z żurem, przestrzegając, żebym szedł ostrożnie, by w drodze nic z owego drogiego napoju nie uronić. Miałem się tedy udać na pewne oznaczone na dziedzińcu miejsce, w którym wykopano dół, gdzie ten żur miał być pogrzebanym.

Kiedy zaszedłem na ów dziedziniec, i z wielką bardzo ostrożnością szukam owego dołu, który miał być gdzieś tam w kącie, czuję nagle z tyłu jakieś silne uderzenie; uczułem, że garnek pękł i oblewa mnie żurem, jak z cebra wodą. Wszyscy w śmiech. Była to jakaś niecnota, która zakradłszy się za mną z rydlem, uderzyła nim silnie w garnek i taką mi kąpiel sprawiła. Ale ten żart opłacił mi się sowicie, bo wnet uzbierano pieniędzy na nowy dla mnie przyodziewek, cała bowiem świąteczna kapota w niwecz poszła, a przy-

tem na całe święta zaproszony zostałem na święcone do pani Przyziębowej.

Tak mi tedy przez pewien czas szło jak z płatka, i miałem chleba po uszy, i zdawało mi się, że ów szlachcic przekora odczepił się odemnie na dobre. Ale on przyczał się tylko, dał mi spokój na pewien czas i wkrótce miał mi znowu porządnie zaleźć za skórę.

W czasie kiedy król August II-gi przeniósł się do wieczności, a nastąpiło bezkrólewie, urwało się raptem wszystko. Nastąpiły przechody wojsk, a z nimi klęski i wielkie zubożenie kraju. Zapomniano o biesiadach i zabawach, zapust był kropla w kroplę podobny do nadchodzącego postu. Jeżeli szlachta zjeżdżała się do Krakowa, to nikt nie myślał już o swatach i zabawach, ale radzono nad biedą publiczną i nad sposobami, jakby Rzeczpospolitą wydobyć z tej toni, w którą coraz głębiej zapadała. Ale nie rzecz mnie opisywać to, co waszmość pewnie wiesz lepiej odemnie, to tylko powiem, że nasze kompanje rozerwały się podówczas i każdy na swoją rękę musiał szukać zarobku, a znaleźć go było ogromnie trudno.

Owóż klepałem biedę znów jak mogłem, szukając tu i owdzie okazji do praktykowania mojego rzemiosła. Jednakże ciężkie były czasy i jedwie raz albo dwa razy na miesiąc nadarzało się jakie wesele, na które z coraz innymi mu-



Czuję nagle z tyłu jakieś silne uderzenie; uczułem, że garnek pękł i oblewa mnie żurem . . . (str. 167)

Zbigniew Roszkiewicz
Poznań

zykantami i mnie zamawiano. Tak więc się zdarzyło, że dnia wczorajszego zawezwano mnie, żebym z kilku innymi przygrywał na weselu u pewnego bogatego winiarza, który wydawał córkę swoją za męża.

Poszedłem więc tam rad dla zarobku, od kilku dni bowiem tak było już chudo u mnie, że nie miałem co pod ząb wziąć. Biesiada była huczna, gości siła, przyjęcie bardzo sute i bawiono się jak za dobrych czasów. Dąłem w flet, ile mi sił starczyło, a z pod oka spoglądałem na stoły zastawione, myśląc sobie, że jak się goście najedzą, to i biednym muzykantom coś się z reszty dostanie.

I byłoby tak zapewne, gdyby nie ten mój przekora, który uwziął się na mnie i na to wesele przybył, gdzie go najmniej spodziewałem się zastać.

Kiedy oto wyteżam dech dla lepszego zawtórowania nowemu mazurowi, który właśnie rozpoczęto tańczyć, czuję, że mnie ktoś nagle klepie po ramieniu.

Oglądam się, a tu mój szlachcic!

Ciary przeszły mnie od stóp do głowy i z wielkiej alteracji wypuściłem flet z ust.

— A co to Bartłomiejku, spotkaliśmy się znowu?

— Idźże sobie waszmość, — zawołałem, — i daj mi święty spokój. Już dość nadrczyłeś mnie przez całe życie, żebyś jeszcze tutaj miał mnie prześladować.

— Alboż to ja tak źle się z tobą obchodzę? — zapytał.

— Bogdajbym był nigdy waszmości nie oglądał — byłbym szczęśliwszym.

Mówiąc to zapomniałem zupełnie gdzie jestem i co robię i zadałem nagle ze złości we flet tak silnie, że wyszedł z niego ton niezwykle piskliwy i przeraźliwy, tak iż wszyscy tańczący przystanęli nagle i każdy spojrział w naszą stronę.

— Co to jest? — zawołało kilka głosów.

— A to ten flecista-niezdara! — odpowiedział mój szlachcic. — A naco to takie tałałajstwo brać do orkiestry. Flet to zawsze nic dobrego. Piszczy tylko i uszy rozdziera, a przegłasza wszystko. A przytem upił się pewnie niecnota i dokazuje. Najlepiejby było wypędzić go stąd, niechby nie przeszkadzał zabawie.

— A naturalnie — zawołali inni.

— Precz z nim!

— Flecista, fora ze dwora!

— Niech idzie przygrywać kotom na dachu, a nie uczciwym ludziom na weselu panny Józefy!

Chciałem odpowiedzieć, tłumaczyć się, ale nie dano mi czasu, nawet moi towarzysze zgorzeleni tym nieporządkiem, który wkradł się do muzyki, powstali na mnie i wprędce przy licznych szturchańcach wypchnięto mnie za drzwi.

Wówczas przywieziony już do ostatniej rozpacz, szedłem przed siebie, nie wiedząc, co z sobą czynić, aż zaszedłem na brzeg Wisły. I nagle przyszła mi myśl, skończyć raz z tą ziemską biedą i z tem życiem utrapionem. Chciałem się utopić. Byłbym może to uczynił, gdybym nie spotkał waszmości, który mnie powstrzymałeś od tego zamiaru, dałeś mi przytułek, i teraz obiecujesz uwolnić raz na zawsze od tego licha, co mi życie zatruwa.

XIX.

Nagrobek.

— A no, odezwał się doktor Buchman — wysłuchawszy uważnie całego opowiadania — nie trudna rzecz pomóc i nie wiele sobie głowy nad tem zaprzętać. A wiesz że waść, kto jest owo lichy, które tak waści dręczy ciągle?

— Skądżebym miał wiedzieć?

— Więc dowiedz się waść, że to nie kto inny, tylko Twoja leniwość. Nie byłoby tak, gdybyś

je sam przez uchylanie się od rzetelnej pracy nie powiększał. A przypomnij jeno sobie, że za każdym razem, gdy przychodziła chwila opuszczenia się w pracy, ów szlachcic niesfora z zapieca ukazywał się przed tobą i zaraz jakaś bieda spadała ci na kark. Tak to zwykle bywa z ludźmi. Tylko nie każdemu grzech widomie stanie w oczach, jak to się u waścia stało. A może z tem i lepiej, bo łatwiejsza do poprawy droga. Trzeba raz skończyć z baraszowaniem i szukaniem lekkiego chleba tam, gdzie się licha kręca.

— Radbym, radbym z duszy, — odpowiedział Bartłomiej, — ale doprawdy nie wiem jak to uczynić, bo tyle już próbowałem, a nic nie pomaga. W waszmości tylko jedyna, ostatnia nadzieja moja. Chciejże mnie więc nauczyć, jak tu się raz na zawsze od tego licha odczepić.

Na to odpowiedział doktor:

— Jeśli waść

Pragnęliśmy zebrać wiadomości o przepisach, jakie doktor Buchmann dał Bartłomiejowi na uwolnienie się od licha, ale nie mogliśmy się tego dowiedzieć. A nawet nie wiadomo nam, jaki był późniejszy los Bartłomieja, czy lichy przestało go dręczyć i czy dorobił się nareszcie kawałka chleba, który przez tak długi czas szukał nadaremnie.

Możemy tylko powiedzieć, że raz zwiedzając rakowicki cmentarz w Krakowie, napotkaliśmy na kamienny nagrobek z takim napisem:

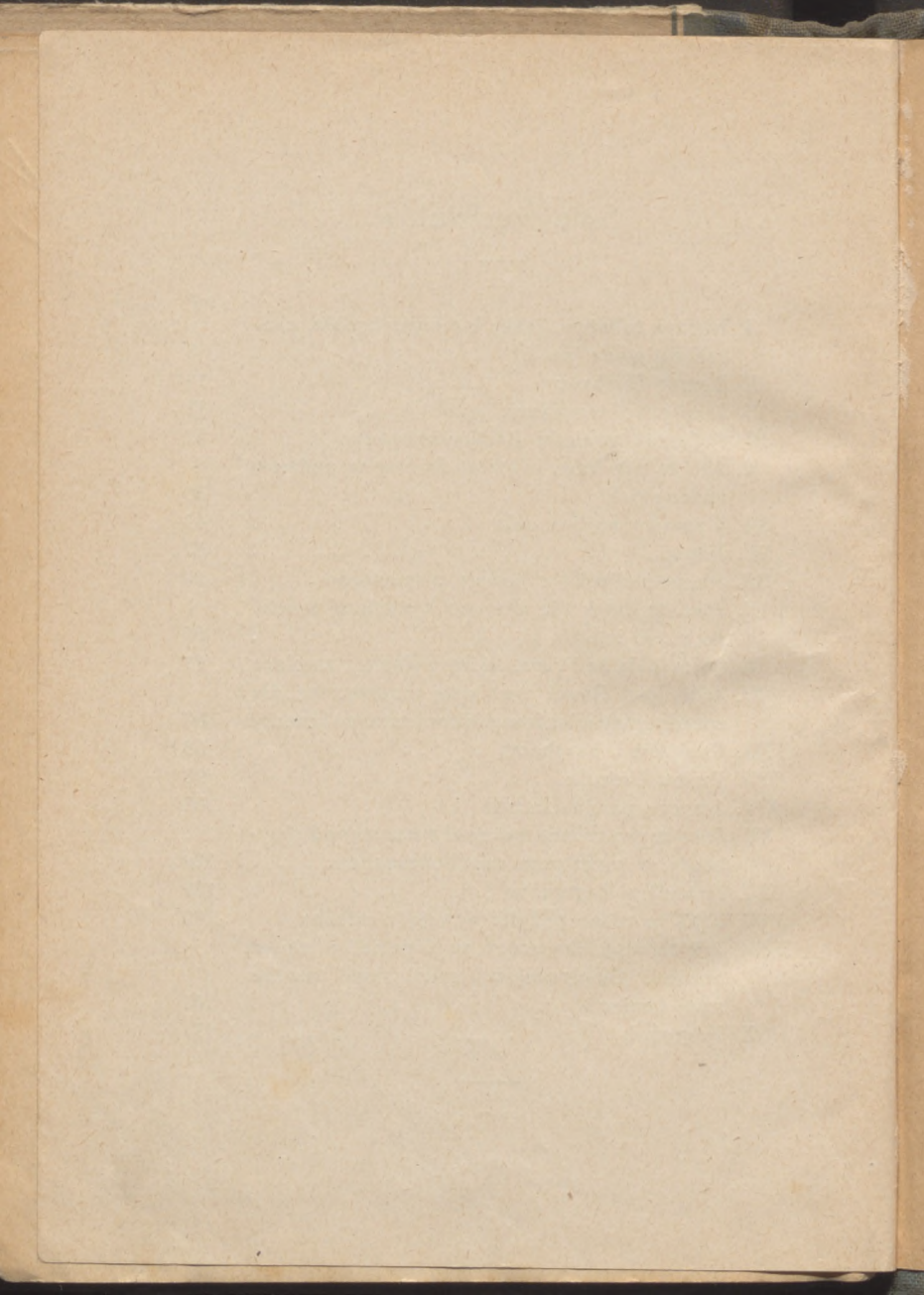


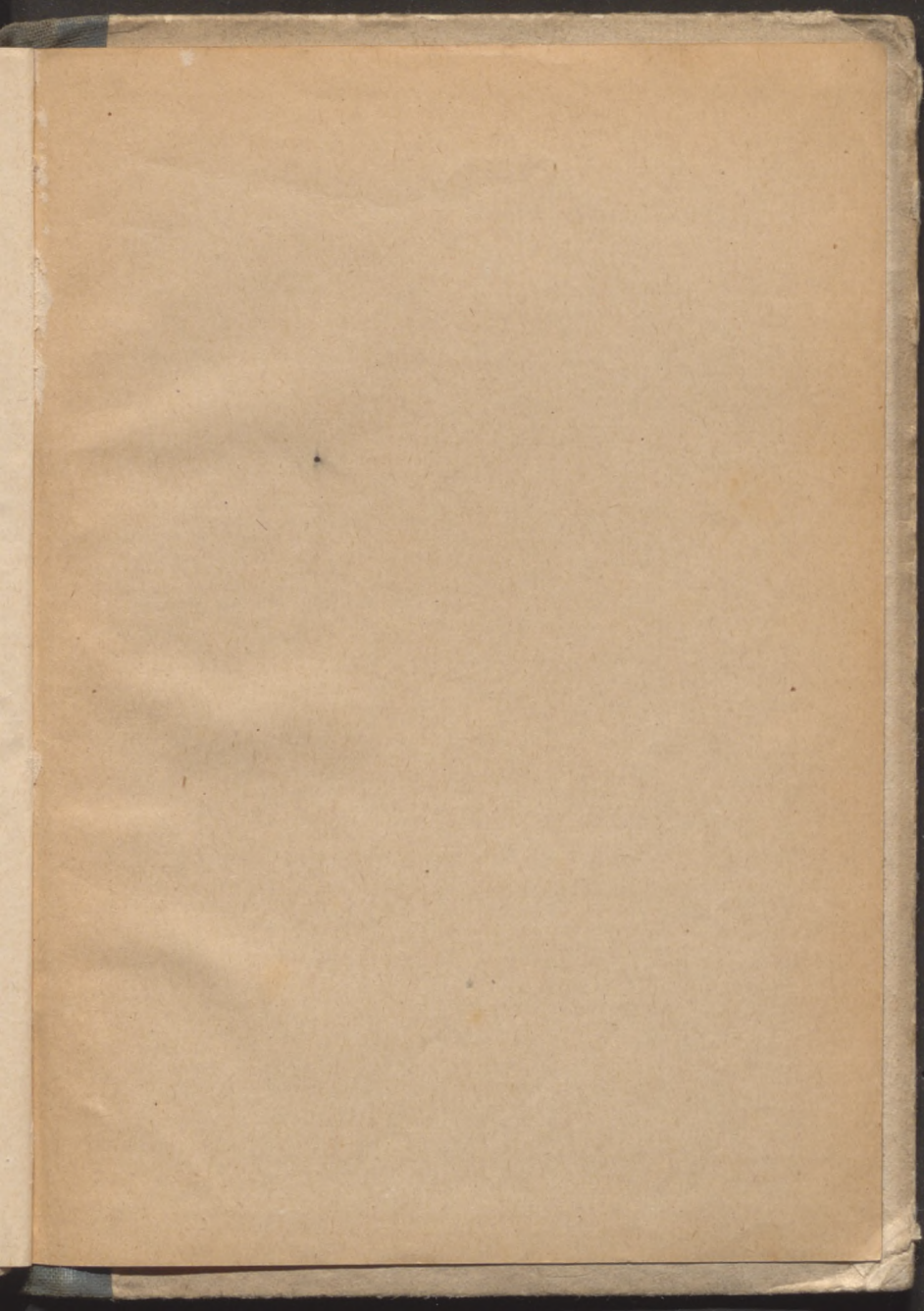
Jeżeli więc ów Bartłomiej Kulig, organmistrz i ławnik miejski, tak ogólnie szanowany, był tym-że samym Kuligiem, który występował w tej powieści, to można z tego wnosić, że znalazł byt pomyślny, skoro na taki nagrobek zasłużył.



Spis rozdziałów.

	Str
I. Nie tak to łatwo, jakby kto myślał sobie, ska- kać do wody na leb	3
II. Doktor Buchman	10
III. Jako piwo rozwiązuje język	18
IV. Początek powieści Bartłomiejowej	22
V. Jak to nie łatwo dostać ubioru na sędziów żydowskich	38
VI. Wyprawa na Samuela	49
VII. Napad	57
VIII. Ślusarz zawinił a kowala powieszono	59
IX. Jako to człek nie wie, co z zapieca wyleźć do niego może	65
X. Co to była za figura, która wylazła z za pieca	71
XI. Jakto pan Gawel zjawia się w samą porę, dla zaradzenia wielce frasobliwemu stanowi rzeczy	80
XII. Praktyka u skrybenta	88
XIII. Panna Urszula	98
XIV. Jeszcze panna Urszula	108
XV. Jako zrana można być praktykantem od skry- benta, a wieczorem miechodmuchem	120
XVI. Kościół w Zagrzebiu	132
XVII. Jako to różne pożytki bywają z miecha	139
XVIII. Jak to wszelaka rzecz na świecie, a nawet powieść Bartłomiejowa musi mieć zawsze swoją koniec	161
XIX. Nagrobek	171





Biblioteka Główna UMK



300020951969

25246 3/16/69 Co

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

479005